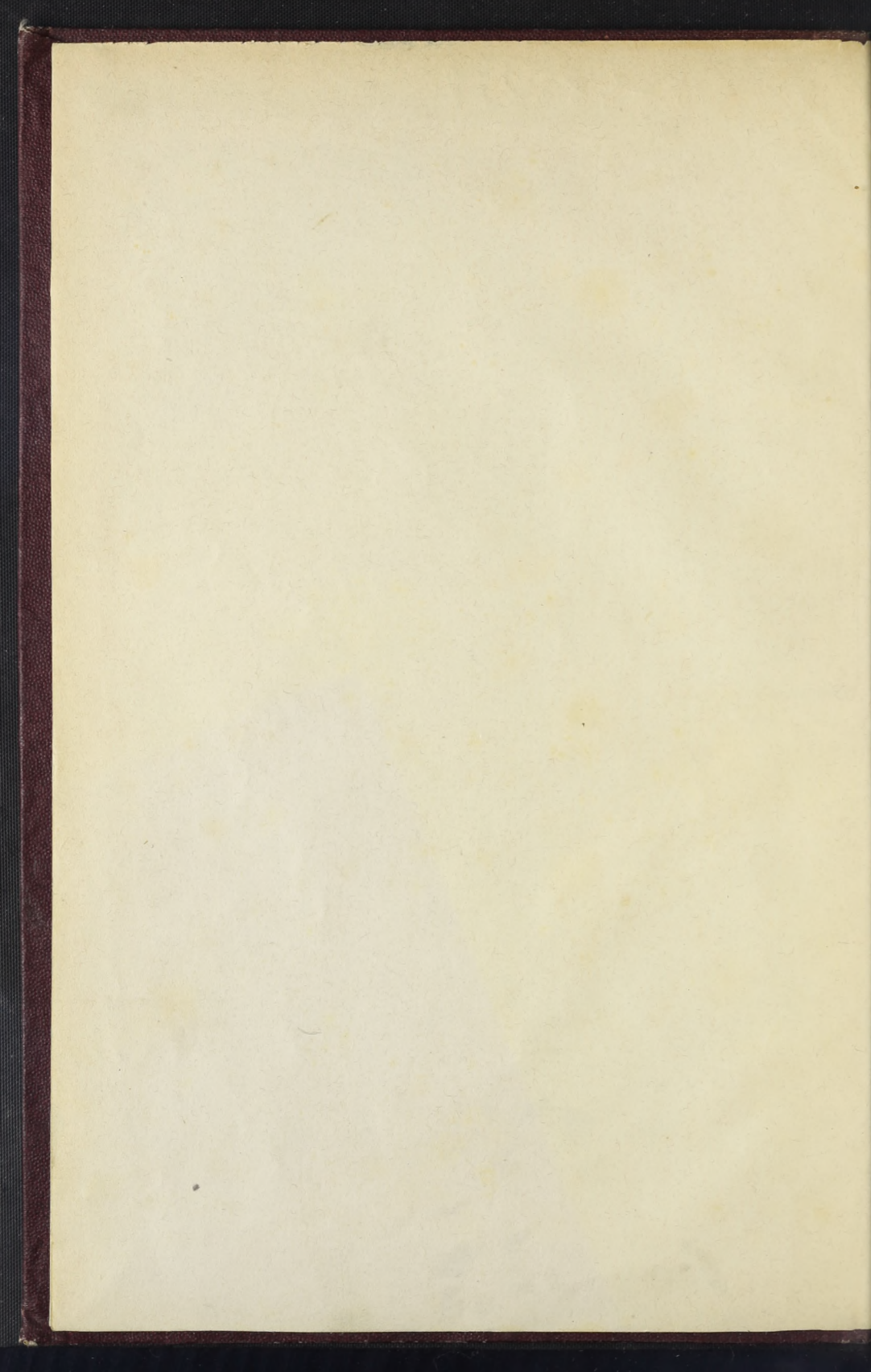


Nr 100 Dieht obrach cruyt in granych w Krynici. } z kriegotom
Nr 101 Dieht liberalny polityj. } Ludwika Janicki

19. 20. 21.

II 485.274 - 485.277



REWIZOR z PETERSBURGA
CZYLI
PODRÓŻ BEZ PIENIĘDZY.

Komedya w pięciu aktach z rosyjskiego.

N. GOGOLA.

BIBLIOTEKA UNIWERSALNA
ARCYDZIEŁ POLSKICH I OBCYCH.

Wydawca: Adam Ślaczurba.

LWÓW.

Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. M. Poremby), Rynek 1. 9.
Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego.

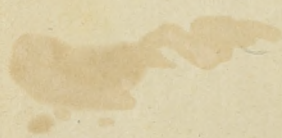
1882.

ADRIANUS VAN NELLE

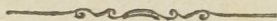
ADRIANUS VAN NELLE
1811-1880



II 485. 274



REWIZOR z PETERSBURGA.





OSOBY:

ANTONI SKWOŹNIK DMUCHANOWSKI, Horodniczy.

ANNA, jego żona.

MARYA, ich córka.

CHŁOPOW, Inspektor Szkoły.

Jego żona.

LIAPKIN — TIAPKIN, Sędzia.

ZIEMLENKA, Kurator Szpitalów.

SZPEKIN, Pocztmajster.

PIOTR DOBCZYŃSKI } Obywatele Miasta.
PIOTR BOBCZYŃSKI }

ALEXANDER CHLESTAKOW, Urzędnik z Petersburga.

JÓZEF, jego służący.

KRYSTIAN HIBNER, Doktor.

TEODOR LIULIUKOW } Dymisyonowani urzędnicy,
JAN ROSTAKOWSKI }
STEFAN KOROBKIN } Cenniejsze miasta osoby.

Żona Korobkina.

UHOWERTÓW, Czastny Prystaw.

SWISTUNOW }
PUGOWICZYN } Policjanci.
DZIERZYMORDA }

ABDULIN, Kupiec.

POSZLEPKINA, Slusarka.

MICHAŁEK, służący Horodniczego.

KELNER.

ŻANDARM.

Głos Jemszczyka.

DAMY — GOŚCIE — KUPCY — MIESZCZANIE — SUPLIKANCI.

Scena w małym powiatowym miasteczku

Library

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

1911

AKT I.

(Pokój w domu Horodniczego, z oknem i gabinetami.)

SCENA I.

HORODNICZY, ZIEMLENIKA, CHŁOPOW, LIAPKIN, CZASTNY
PRYSTAW, HIBNER.

Horodniczy.

Zaprosiłem panów po to: aby im udzielić nader nieprzyjemną wiadomość. Doniesiono mi, że z Petersburga wyjechał incognito urzędnik z sekretnem poleceniem, zrewidowania w naszej gubernii wszystkiego, co się do administracyjnej władzy ściąga.

Liapkin.

Co pan mówisz! z Petersburga?

Ziemenika *(ze strachem.)*

Z sekretnem poleceniem?

Chłopow *(ze strachem.)*

Incognito?

Horodniczy.

Przyznam się wam otwarcie, że mnie to mocno zatrwożyło. Dzisiejszej nocy jakby przecuciem, śniły mi się dwa nadzwyczajne szczury, jakich nigdy jeszcze nie widziałem, czarne, ogromnie wielkie; przybiegły, powąchały, odeszły. Ale przeczytam wam list, który odebrałem od Andrzeja Iwanowicza Czmuchyna — znasz go

Panie Ziemenika. Otoż on, tak pisze: „Kochany Przyjacielu, Kumie i Dobrodzieju! (*mruczy pod nosem przebiegając list oczami.*) Donoszę Ci...“ A!.. „Pospieszam przy tem zawiadomić cię, że przybył do nas urzędnik z poleceniem obejrzenia całej gubernii, a mianowicie naszego powiatu. (*ze znaczeniem podejmuje palec w górę.*) Dowiedziałem się o tem od wiarogodnych osób. A ponieważ wiem dobrze, że ty... mój przyjacielu, jak każdy z żyjących, masz malutkie grzeszki, boś człowiek z rozumem i nie lubisz tem pogardzać, co przez ręce do kieszonki wpływa.“ (*zastanawia się mówiąc.*) Przecież nie ma tu obcych, ale wszyscy swoi... „więc radzę ci być ostrożnym, albowiem on, lada godzina przybyć do was może, jeżeli tylko już nie przyjechał i niezamieszkał gdzie incognito. Wczoraj..“ No! dalej same familijne wiadomości... „Siostra Anna Kiryłówna z mężem do nas przyjechała, Iwan Kiryłowicz bardzo potłuszczał i ciągle gra na skrzypcach.“ i t. d., i t. d.“ Otoż tak się rzeczy mają.

Liapkin.

W istocie, nadzwyczajne wydarzenie.

Chłopow (*do Horodniczego.*)

Powiedz mi panie Antoni, dla czego i po co do nas posyłają rewizora? Wszakże nasze miasto, zdaje się, tak jest dalekiem od wszystkiego, że o niem nawet i myśleć nie warto.

Horodniczy (*wzdychając.*)

Ach! !.. dotąd strzegł nas Bóg od tego. Zdarzało się wprawdzie czytać w gazetach: że w takim to miejscu, tego za oberchapki wsadzili do turmy, tamtego oddali pod sąd, za zbyteczne pobłażanie i kradzież, lub za fałszowanie: ale wszystko to zdarzyło się, dzięki Bogu, w drugich miastach, a u nas dotychczas żadnych rewizyi, ani rewizorów nie bywało.

Liapkin.

Ja myślę, że w tem być musi jakaś bardzo delikatna i polityczna przyczyna. Zapewne Rossyja, chce rozpocząć wojnę i dla tego ministerium wysłała urzędnika, dla przekonania się, czy nie ma gdzie jakiej zdrady, lub niebezpieczeństwa.

Horodniczy.

Nie, panie Liapkin, chociaż jesteś uczony, jednakże się mylisz. Co tu być może niebezpiecznego w naszym powiatowym miasteczku. Gdyby było pogranicznym, to możnaby jeszcze coś wnioskować. Ale ono stoi diabeł wie gdzie, zupełnie na ustroniu... galopuj ztąd choć przez trzy lata, to do żadnego państwa nie dojedziesz.

Liapkin.

O! nie, rząd nasz ma subtelne widoki: nie to, że nasze miasto leży w oddaleniu, jednakże może być na przeszkodzie.

Horodniczy (*machnął ręką.*)

No! już to ciebie panie Liapkin nikt nie przegada. Ale do rzeczy panowie! zebrałem was tu umyślnie... we względzie uporządkowania naszego miasta; ja cokolwiek już się urządziłem, radzę i wam, pójść za moim przykładem. Mianowicie tobie panie Ziemenika. Przejeżdżający urzędnik, zechce bez wątpienia, obejrzeć przedewszystkiem zostające pod twoim dozorem szpitale. Dla tego proszę: ażeby wszystko było przyzwoitem. Szlafmyce powinny być czyste, chorzy zaś lepiej ubrani jak codziennie, podobni do kowalów; z resztą, potrzeba porobić przed każdym łóżkiem łacińskie napisy, lub jakie inne. Tobie panie Hibner najwłaściwiej przystoi tem się zająć, należy wyrazić nazwisko każdej osoby, kiedy i którego dnia chory został przyjętym i tem podobnie. (*zamilkł i pokręcił głową*) Ale, ale... wasi chorzy palą tak mocny tytuń, że za wejściem do nich, trzeba dusić się od kaszlu. Postarajcie się także, ażeby liczba chorych, o ile można, była najmniejszą, bo inaczej przypiszą to niedbałości w dozorowaniu, lub nieumiętności lekarza.

Ziemenika.

O! na to konto jużesmy się z panem konsyliarzem, jak potrzeba rozporządzili. Wszystko zależy od sposobu leczenia: ja sędzę, że im bliżej natury, tem lepiej i korzystniej. I rzeczywiście, na co expensować i zapisywać drogie lekarstwa dla jakiego tam inwalida? Człowiek prosty kiedy ma umrzeć, to umrze niezawodnie; a jeśli ma wyzdrowieć, to i bez [lekarstw wyzdrowieje. Przy tem

panu doktorowi przytrudnoby było rozpytywać się chorych, ponieważ nie umie po rusku. Nie lepiejże, ochronić skarbowy interes i umniejszeniem wydatków powiększyć kapitał. Wtenczas rząd widząc moją gorliwość, ani wątpić, przedstawi mię do nadgrody dla zachęcenia drugich. (*obracając się do Hibnera.*) To jest, sądzę, że i pan konsyliarz otrzyma przytem jakieśbądź zadowolenie.

Hibner (*wydaje odgłos nieco podobny do litery i. a. nieco do e.*)

Horodniczy.

Radziłbym także, tobie panie Liapkin, zwrócić uwagę na twoje sądownictwo. Tam w pierwszym pokoju, który jest przeznaczony dla suplikantów, stróże spędzają gęsi z małemi gąsieniami, które ciągle snują się pod nogami. Prawda, że w gospodarstwie, gęsi są nieodbycie potrzebne, i że się ich chowa, nie można brać tego za złe; ale w takim miejscu, to nieprzyzwoicie... już to ja nie raz chciałem panu o tem namienić, ale zawsze zapominałem. — Oprócz tego, brzydko, że w sali sądowej, suszą się ladajakie gałganki, a nad szafą z papierami, wisi myśliwski harapnik. Wiem to: że pan lubisz polowanie, ale zawsze lepiej zdjąć go na jakiś czas; a gdy już sobie rewizor szczęśliwie przejedzie, wówczas! można będzie znowu go zawiesić. Także assesor wasz... może on być lepszym człowiekiem i znającym prawo; ale ma tak nieprzyjemny odor, jakby tylko co wyszedł z gorzelnii... to bardzo nie dobrze, chciałem ja i o tem nie raz z panem pogadać, ale byłem nieco roztargniony. Są środki, któremi można tę odrażającą woń cokolwiek złagodzić. Kiedy już w istocie, jak on sam powiada, jest ona jakoby zapachem z urodzenia, powinienby jeść cebulę, czosnek, lub coś podobnego. W tem najlepiej dopomoże, swoją radą lub medykamentami, pan doktor.

Hibner (*wydaje taki sam odgłos.*)

Liapkin.

Nie, temu już nikt nie da rady. — On powiada; że jeszcze w niemowlęctwie, skaleczyła go mamka i smarowała spirytusem; o toż od tego czasu, daje się słyszeć od niego cokolwiek odór jakoby wódczany.

Horodniczy.

A!... no, ja tylko tak namieniłem. Na konto zaś wewnętrzne-
go porządku i tego co to mój przyjaciel w liście swoim nazywa-
malutkimi grzeszkami, nie mam nic do powiedzenia — bo mówić
o tem byłoby dziwactwem, wszakże nie ma ani jednego żyjącego
człowieka, któryby jakiego grzechu na sobie nie nosił — to już sam
Bóg tak postanowił, i na próżno jacyś tam Wolterzyści, krzyczą
przeciwko temu.

Liapkin.

Cóż to panie Antoni uważasz za grzeszki? grzechy, grzechom-
nie równe. Ja chociaż mam jakie grzeszki, to zupełnie niewinne!
Wiadomo ci przecie, że jeżeli co biorę czyli upoluję, to tylko maleń-
kimi charciatkami.

Horodniczy.

No charciatkami, czyli czem innym zawsze bierzesz.

Liapkin.

E, nie, panie Antoni to weale co innego. Naprzykład, twoja
szuba kosztuje pięćset rubli, a....

Horodniczy.

No i cóż z tego, że ty panie Liapkin bierzesz tylko maleń-
kimi charciatkami? Za to w kościele nigdy nie bywasz, nie mo-
dlisz się; a ja Bogu chwała, w wierze jestem mocny i każdej nie-
dzieli chodzę do kościoła. Ty zaś... o! znam cię dobrze, kiedy
zacziesz o stworzeniu świata dowodzić, to aż włosy na głowie
powstają.

Liapkin.

Ja to sam doszedłem, własnym swoim rozumem.

Horodniczy.

No, no, Bóg to wie najlepiej: jeżeli w jednej materyi mamy
zbyt wiele rozumu, to w drugiej mniej, jakby go zupełnie nie było.
Zroszają ja tak tylko namieniłem o powiatowym sędzie: to kącik

spokojny, sam Bóg nim się opiekuje, i chyba tylko przypadkiem ktoś do niego zajrzy. Ale tobie panie Chłopow, jako inspektorowi szkoły, należy się zatrudnić; a mianowicie co do twoich profesorów. Bez wątpienia są to ludzie uczeni, odbierali nauki po różnych kollegiach, jednakże ich sposób postępowania przy wykładaniu lekyi, jest nader dziwacznym. Jeden z nich, naprzykład, ten z wydatnymi policzkami... nie pamiętam jego nazwiska, gdy stanie w swojej katedrze, nie może się obejść bez grymasów — oto tak... (*robi grymas.*) A potem ręką, z pod wielkiego halsztucha zaczyna gładzić swoją brodę. Wreszcie, kiedy on studentowi taką twarz pokaże, to jeszcze nic, może to w końcu tak potrzeba, o tem ja sądzić nie mogę; jednakże sam powiedz, jeżeli on zrobi podobną minę przed wizytującym, to będzie bardzo zle. Pan rewizor lub ktokolwiek na jego miejscu, może to wziąć za naigrawanie się i Bóg wie co z tego wyniknie.

Chłopow.

Ach mój Boże! ja głowę tracę.

Horodniczy.

Powinienem także namienić tu i o profesorze historyi. Jest to głowa nie dla proporceyi, człowiek pełen wiadomości; ale cóż, kiedy wyklada je z takim ogniem i entuzjazmem, że zapomina o samym sobie. Byłem raz przytomny jego lekyi... dopóki mówił o Syryjczykach i Babilończykach, to i jakośkolwiek szło, ale jak zaczął dowodzić o Alexandrze Macedońskim, nie mogę wyrazić co się z nim zrobiło. Rozumiałem, że się pali. Wyskoczył z swojej katedry, chwycił za krzesło i z całej siły uderzył nim o posadzkę. Prawda, że Alexander Macedoński był to sławny bohater, ale na cóż łamać krzesło? przez to robi szkodę dla skarbu.

Chłopow.

Tak, on ma wiele ognia, jest nieco za gorący; mówiłem mu to nie raz.... Prawdziwie, nie wiem co z nim robić?

Horodniczy.

Już to tak idzie na świecie: że człowiek rozumny, albo jest pijakiem, albo twarz tak szkaradnie wykrzywia, że każdego przestraszy

Chłopow.

A to prawdziwy kłopot.!

Horodniczy.

Nie to że kłopot, ale co gorsza, że nie wiadomo, w jakiej stronie miasta mam czekać na niego, kiedy i w jakim czasie. To przeklęte incognito bardzo mnie niepokoi! Wpadnie jak z procy, zajrzy: „Ha! wy tu, gołąbeczki!“ powie, a który z was jest sędzią? „Liapkin Tiapkin —“ o! przywołać do mnie Liapkina! a kto jest inspektorem szpitalu? — Ziemenika. A! zawołać Ziemenikę! — Otóż to jest, czego ja się lękam.

SCENA II.

CIŻ I POCZTMAJSTER.

Horodniczy.

Jakże się masz panie Szpekin! umyślnie posłałem po ciebie, ażeby ci donieść ważną nowinę.

Pocztmajster.

Słyszałem już o tem od Bobczyńskiego, który tylko co był u mnie na poczcie.

Horodniczy.

No i cóż ty o tem myślisz panie Janie?...

Pocztmajster.

Co myślę! To, że będzie niezawodna wojna z Turkami.

Liapkin.

Ja także tak myślę.

Horodniczy.

Nie, nie! zupełnie co innego.



Pocztmajster.

Niezawodna wojna z Turkami. A to wszystko z przyczyny Francuzów.

Horodniczy.

Gdzie tam wojna! gdzie tam Turcy! — Tu złe nam grozi, a nie Turkom. To już wiadomo: pisze do mnie wyraźnie człowiek wiarygodny, że niezawodnie urzędnik jedzie z Petersburga po to, aby obejrzeć nasze miasto i przekonać się, czy wszystko jest w należytem porządku.

Pocztmajster.

To być może.

Horodniczy.

Mnie coś skóra drzeć zaczyna. A tobie kochany pocztmajstrze?

Pocztmajster.

Tak cokolwiek, cokolwiek... A ty Panie Antoni, czy bardzo się boisz?

Horodniczy.

Dla czegoż bać się! ja się nie boję, ale tak coś myślę, czy czasem który z naszych mieszczan, lub kupców... bo mówiąc między nami, stanąłem im kością w gardle. Za to patrzą oni na mnie jak jastrzębie, gotowi mię całego na cząstki rozerwać. (*odprowadza go na stronę*) Ale usuńmy się cokolwiek. Otóż rzecz się tak ma: Spodziewany rewizor, jeżeli jeszcze nie przybył, to pewnie już jest nie daleko nas. Ja, mówiąc między nami, mam niejaki przyczyny domyślać się, czy nie skarżył się kto na mnie. Bo dlaczegożby taka napaść na nasze miasto? a do tego jeszcze incognito?... Djabli wiedzą co tam za incognito! wszakże tu jest władza miejscowa, na cóż więc to incognito?... Trzeba zatem kochany panie Szpekin, dla wspólnego naszego dobra, każdy list w twojem kantorze, przychodzący i odchodzący... wiesz... tak, cokolwiek rozpieczętować: a to dla przekonania się, czy nie ma w nim jakiego doniesienia lub skargi. Jeżeli nie, to można go zapieczętować na nowo. Dla tego najlepiej

zrobić jakikolwiek wycisk z gliny; wreszcie można nawet oddać list bez zapieczętowania.

Pocztmajster.

Wiem, wiem!... ja to robię i bez tego, nie przez ostrożność, ale z ciekawości; ponieważ mówiąc między nami, bardzo lubię wiedzieć, co jest nowego na świecie. Powiadam ci panie Antoni, że to jest nader interesujące zajęcie! w niektórych listach tak są dobre i piękne zwroty... do zbudowania nawet! lepsze nierównie jak w moskiewskich gazetach. Nie czytałeś tego nigdy?

Horodniczy.

Nie, nie czytałem; lecz mocno się cieszę, że ty panie Janie tem się zajmujesz. To dobrze, chociażby dla przepędzenia czasu. Powiedzże mi, czy dotąd nie nie wyczytałeś o jakim urzędniku Petersburskim?

Pocztmajster.

O Petersburskim nie, ale o Kostromskich i Saratowskich bardzo wiele. Szkoda jednak, że ty panie Antoni żadnych listów nie czytywaś. Są w nich prześliczne ustępy. Oto nie dawno czytałem; jakiś poręcznik pisząc do swojego przyjaciela, opisuje bal i życie swoje z taką umiejętnością i sztuką, że zachwycać się potrzeba: „Ja przepędzam czas, mówi on, z prawdziwą przyjemnością; kobiet dużo, muzyka brzmi, Sztandar-junkier skacze... „ach! z wielkiem, z wielkiem czuciem to pisał. Jeżeli chcesz, dam ci ten list przeczytać. Umyślnie go u siebie zatrzymałem.

Horodniczy.

Dziękuję najpokorniej. Teraz nie czas do tego. Zmiłuj się mój panie Janie: jak tylko powźmiesz jaką wiadomość, to zaraz ją do mnie przysyłaj; a jeżeli w liście znajdziesz jaką skargę, lub doniesienie, to bez ceremonji zatrzymaj go u siebie.

Pocztmajster.

Z największem ukontentowaniem.

Liapkin (*podchodząc do nich.*)

Zobaczcie, dostanie wam się kiedyś za to.

Pocztmajster (*sposzrzeglwszy go.*)

Ah!....

Horodniczy.

Nie to, nie. My swoi, nie ma się czego lękać, to rzecz przyjacielska, familijna.

Liapkin.

Tak. Jednakże to nieprzewidziane wydarzenie! A ja właśnie przybyłem do ciebie panie Antoni, ażeby ci się przysłużyć moją suczką. Rodzona siostra tego wyźła, którego znasz bardzo dobrze. Niedawno w moim sądzie dwaj obywatele sąsiedzi, rozpoczęli proces między sobą i ja teraz trzebieję zające w kniejach jednego i drugiego.

Horodniczy.

Bóg z nimi, i ze wszystkimi zającami! W moich uszach teraz brzmi tylko to przekłete incognito. — Zdaje mi się, że w tej chwili drzwi się otwierają i wchodzi...

SCENA III.

CIŻ — BOBCZYŃSKI I DOBCZYŃSKI.

(*wchodzą razem, popychając się jeden przed drugim.*)

Bobczyński.

Nadzwyczajne wydarzenie!

Dobczyński.

Niespodziewana wiadomość!

Wszyscy.

Co? cóż takiego?

Dobczyński.

Rzecz nieprzewidziana: wchodzimy do hotelu...

Bobczyński (*przerywając.*)

Wchodzimy z panem Piotrem do hotelu....

Dobczyński (*przerywając.*)

E, za pozwoleniem, ja opowiem.

Bobczyński.

E, nie, za pozwoleniem, ja sam... proszę pozwolić... Pan Piotr nie może tak gładko się wyrazić, nie ma płynnej mowy....

Dobczyński.

A pan Piotr, nie pamięta dobrze wszystkich szczegółów; zaraz się zająknie.

Bobczyński.

E, nie; pamiętam. Dalibóg pamiętam. Tylko nie przerywaj proszę, ja sam opowiem. Nie przerywaj! — Przez litość panowie, powiedźcie mu, żeby mi nieprzerywał.

Horod niczy.

No i cóż? mówże, na miłość Boską! co takiego? Moje serce drgać zaczyna. Siadajcie panowie! zmiłujcie się siadajcie! Panie Pietrze, oto krzesło. (*Wszyscy usiedli na około tych dwóch Piotrów*)
No, cóż takiego?

Bobczyński.

Za pozwoleniem — zaraz wszystko z porządku opowiem. Tylko co ztąd wyszedłem... E, panie Pietrze nie przerywaj! milez, bądź łaskaw; ja sam już wiem!... Tylko co ztąd wyszedłem, natychmiast pobiegłem do Korobkina, a nie zastawszy Korobkina w domu, wróciłem do Rostakowskiego; a nie znalazłszy Rostakowskiego, zaszedłem o to do pana Jana, — (*wskazując Pocztmajstra*) ażeby mu zanieść odebraną tu nowinkę — wyszedłszy zaś od pana Jana, spotkałem pana Piotra....

Dobczyński. (*przerywając.*)

Obok budki, gdzie bułki sprzedają.

Bobczyński.

Obok budki, gdzie bułki sprzedają. Uważajcież panowie!... Opowiadam panu Piotrowi wiadomość, jaką pan Antoni otrzymał z wiarogodnego listu, a pan Piotr mówi, że już słyszał o tem od klucznicy pana Antoniego, Awdotji, która nie wiem po co, była posyłaną do Filipa Antonowicza Poczeczuszwy....

Dobczyński.

Po beczułkę od francuzkiej wódki.

Bobczyński.

Po beczułkę od francuzkiej wódki. Otóż ja z panem Piotrem weszliśmy do Poczeczuszwy.... E, bądź łaskaw panie Pietrze, nie przerywaj; zmiłuj się nie przerywaj!... weszliśmy do Poczeczuszwy, ale po drodze pan Piotr mówi: „Dziś do traktyerni przywieźli świeżego łososia, więc pójdźmy zakąsić...“ Tylko co wchodzimy do traktyerni, aż tu młody mężczyzna ...

Dobczyński (przerywając.)

Nie szpetnej twarzy, w kusym tużureczku....

Bobczyński (przerywa.)

Nie szpetnej twarzy, w kusym tużureczku... przechadza się po pokoju; w jego postaci widać rozwagę i rozsądek, jego fizjonomja, obejście.... i tak... tu.... (*kręci ręką około głowy*) dużo, dużo wszystkiego. — Jakby przeczuwając, powiedziałem sobie: to coś ważnego być musi. A w tem pan Piotr kiwnął palcem, by przywołać do siebie gospodarza, oberżystę Blasa: jego żona trzy tygodnie temu wydała na świat synka; prześliczny malec, chłopiec wielkich nadziei; z czasem będzie coś z niego, jeśli tylko jego ojciec zechce dalej trzymać traktyernię. Otóż tedy, pan Piotr przywoławszy do siebie oberżystę Blasa, spytał go po cichu: kto jest ten młody mężczyzna? a Blas odpowiedział: to jest, powiada.... E, bądźże łaskaw panie Pietrze, nie przerywaj! ty tego tak dobrze nie opowiesz, dalibóg nie opowiesz, jesteś szepietliwy, masz cztery szczerbate zęby.... To jest powiada.... młody człowiek! Urzędnik, przybyły z Petersburga: Aleksander Chlestaków, a jedzie w Saratowską Guberniją, lecz nie

najlepiej tu siebie zarekomendował: więcej jak półtora tygodnia już mieszka u mnie i dalej jechać nie myśli — bierze wszystko a conto, a jeszcze mi ani kopiejki nie zapłacił. — W jednej chwili stanąłem jak wryty i mówię do pana Piotra: Ehe!....

Dobczyński.

Nie, panie Pietrze, to ja powiedziałem: Ehe!....

Bobczyński.

Z początku ty powiedziałeś, a później ja. Ehe! mówiliśmy razem z panem Piotrem, dla jakiej kategorii on tu siedzi, wówczas kiedy ma jechać Bóg wie dokąd: aż w Saratowską Guberniją! — To zapewne nie kto inny być musi, jak tylko ten sam urzędnik, którego się spodziewamy.

Horodniczy.

Co mówisz! to być nie może (*przysuwa się z krzesłem.*) Nie, to się tobie tak zdało, to nie on.

Dobczyński.

Jakto nie on, kiedy i pieniędzy nie płaci i nie odjeżdża!... Któż może być inny, jeżeli nie on?... z jakiegoż względu mieszkałby tutaj, kiedy w jego podorożnej stoi wyraźnie: w Saratowl!

Bobczyński.

On, on; dalibóg, on!.... pójdę w zakład o niewiedzieć co!... A jaki obserwator, obejrzał wszystkie kąty, nawet i nasze talerze, aby się przekonać, co jemy. A co za przezorność, niech Bóg bronil!

Horodniczy.

Ach! Boże! miej nas grzesznych w swojej opiece!.... Gdzież stanął?

Dobczyński.

W piątym numerze pod schodami.

Bobczyński.

W tym samym pokoiku, w którym się przeszłego roku, przejeżdżający oficerowie pobili.

Horodniczy.

A od jak dawna on się tu znajduje?

Dobczyński.

Już z półtora tygodnia.

Horodniczy.

Półtora tygodnia!... (n. s.) Aj! aj! aj! (*drapiąc się za uszy.*)
W tym półtora tygodniu, schłostano niewinnie podoficerską żonę!
o Boże! w tym półtora tygodniu, aresztantom nie wydawano żadnej
pro wizyi. Na ulicach nieczysto, brudno. O Boże! Boże!... (*chwytając się za głowę.*)

Ziemlenika.

Mnie się zdaje panie Antoni, trzeba nam teraz co prędzej
włożyć mundury, i natychmiast jechać wprost do niego.

Liapkin.

Ja zaś myślę, że należałoby zebrać pospólstwo, zwołać wszy-
stkich kupców, a na ich czele głowę miasta, to człowiek widny,
okazały. Nie zaszkodziłoby także posłać po duchowieństwo. To bę-
dzie mieć jakieś głębokie i tajemnicze znaczenie.

Horodniczy.

Nie, nie! ja to wszystko inaczej urządzę. — (*Do Bobczyńskiego*)
Mówisz więc Pietrze, że to jest człowiek młody?

Bobczyński.

Tak około lat dwudziestu trzech, czterech, nie więcej.

Horodniczy.

No, to bardzo dobrze że młody. Otoż tak zrobimy: Panowie
każdy z swojej strony, czynicie co prędzej przygotowania do przy-
jęcia tak zacnego gościa, ja zaś pójdę sam, albowiem z panem
Piotrem, prywatnie, tak spacerem, dowiedzieć się niby: czy zajeź-
dzający do austeryi pasażerowie, nie doznają jakiego braku lub
nieprzyjemności. Panom zaś radzę, zająć się natychmiast i korzy-
stać z czasu. Ej! Świstunow! —

Swistunow (*przystępując.*)

Ślucham!

Horodniczy.

Ruszał natychmiast po Czastnego Prystawa.... albo nie, zostań! Poszlej tam kogokolwiek, tylko jak można najprędzej, po Czastnego Prystawa, a sam przychodź tutaj.

Swistunow (*bieży z pośpiechem.*)

Ziemenika.

No, idźmyż, idźmyż; panie Liapkin. To nie są żarty, może ztąd wyniknąć wielka bieda.

Liapkin.

Co tobie za bieda, masz wszystko w porządku, ale ja...

Ziemenika.

Diabła tam w porządku! w nieładzie i wielkim nieładzie. Dla chorych dzisiaj nie się w kuchni nie gotuje. —

(*Sędzia, Kurator, Pocztmistrz i Inspektor wychodzą i trącają się we drzwiach z powracającym Kwartalnym.*)

SCENA IV.

HORODNICZY, BOBCZYŃSKI, DOBCZYŃSKI, SWISTUNOW.

Horodniczy (*do Kwartalnego.*)

A co? drażki czy już czekają?

Swistunow.

Czekają.

Horodniczy.

Idź na ulicę... albo nie, stój! idź i przynieś mi... A gdzie są drudzy? czy ty tylko jeden tu jesteś? ... Wszakże

rozkazałem wyraźnie, ażeby i Prochorów był tutaj. Gdzie jest Prochorów?

Swistunow.

W części, ale go do niczego użyć nie można.

Horodniczy.

Jakto?

Swistunow.

Tak: przywieźli go dziś rano prawie bez duszy. Już dwa cebry wody wylano na niego, a jeszcze się nie przetrzeźwił.

Horodniczy (*chwytą się za głowę*).

Ah! mój Boże! mój Boże! — Idźże żywo na ulicę... albo nie, bież pierwej do mego pokoju — słyszysz! i przynieś mi moję szpadę nową szpadę! rozumiesz?! No, panie Pietrze pójdziemy.

Bobczyński.

I ja, i ja panie Antoni, weźcież i mnie ze sobą.

Horodniczy.

Nie, nie! nie można, nie można! nawet w drażkach się nie pomieścimy.

Bobczyński.

Nie to, ja sobie pójde piechotą za drażkami. — Chciałbym choć przez szczelinę na niego popatrzeć, albo przez dziurkę od klucza widzieć jego z wami obejście, złość lub dobroć i nie więcej.

Horodniczy (*przyjmując od Kwartalnego szpadę*).

Ruszaj natychmiast, zwołaj wszystkich dziesiętników, niechaj każdy z nich weźmie.... Eh! jaka odrapana szpada!... o! przekłety kupiec Awdulin — widzi że u Horodniczego stara szpada, a nie przyśle nowej. O! złośliwy narodzi! a takie chytre! ja myślę że tam już najmniej z tuzin prośb na mnie przygotowali (*do Kwartalnego*.) Niechaj każdy z nich weźmie w rękę ulicę — do djabła, weźmie w rękę ulicę! nie, miotłę! i niech czysto wymiotą trotoary, które prowadzą do oberży. Słyszysz? Pa-

trząże: ty, ty! ja ciebie znam: jesteś tam niby w kumowstwie, a srebrne łyżeczki chowasz do botfortów! Ej! będzie licho. — Coś ty zrobił z kupcem Czerniajewym he?... On ci dał dwa arszeny sukna na mundur, a tyś ściągnął całą sztukę. Strzeż się bratku, strzeż się.

Swistunow (*odchodzi.*)

SCENA V.

CIŻ I CZASTNY PRYSTAW.

Horodniczy (*do Czastnego.*)

A!... dobrze że tu jesteś panie Szczepanie! powiedz dla Boga, gdzie siedziałeś dotychczas?

Czastny Prystaw.

Byłem tuż za bramą.

Horodniczy.

No, mój panie Szczepanie! dowiedz się, że spodziewany urzędnik z Petersburga, już do nas przyjechał. Jakżeś tam wszystko urządził?

Czastny Prystaw.

Jak pan rozkazałeś. Kwartalnego Puchowiczyna posłałem z budnikami oczyścić trotoar.

Horodniczy.

A gdzież Dzierżymorda.

Czastny Prystaw.

Pojechał na pożarnej sikawce.

Horodniczy.

A Prohorów, pijany?

Czastny Prystaw.

Tak, pijany.

Horodniczy.

Jakżeś mógł na to pozwolić?

Czastny Prystaw.

A djabli go wiedzą. Wczoraj za miastem, wszczęła się między mieszczanami bitwa, — pojechał on tam dla uśmierzenia, a dziś wrócił pijany.

Horodniczy.

Słuchajże panie Szczepanie, tak zrobisz: Kwartalnego Pugowiczyna, ponieważ jest wysokiego wzrostu, postawisz na moście dla pilnowania porządku. — Każesz natychmiast rozrzucić stary parkan, ten blisko szewca, a na miejscu jego wytknąć słomianą wiechę, na znak zaczętej fabryki. A uważać dobrze, żeby wszystko było pokruszone na najdrobniejsze części, bo im większa łamanina, tem większą czynność gospodarza miasta dowodzi. — Ach! mój Boże! na śmierć zapomniałem, że około tego parkanu nawalono ze czterdzieści wozów różnego śmiecia. Co to za brzydkie miasto, postaw tylko gdzie bądź jakikolwiek pomnik, albo prosty parkan, zaraz djabli wiedzą zkąd, naniosą rozmaitego plugawstwa! — (*wzdycha*) A jeśli by przyjezdny urzędnik, pytał się u naszych podkomendnych: Czy są wszystkim zadowoleni? — żeby odpowiedzieli: Zadowoleni wielmożny panie; a jeżeli broń Boże który z nich powie: niezadowolony, to później tak go zadowolnię, że mie długo popamięta. Ach! zgrzeszyłem i bardzo zgrzeszyłem! (*bierze futerał zamiast kapelusza*) O! gdyby tylko Bóg co prędzej dozwolił zrzucić z głowy ten kłopot, to postawię w kościele taką wielką świecę, jakiej jeszcze żaden ksiądz nie widział — każdemu bestyi kupcowi każę dostawić po trzy pudy wosku. Ach! mój Boże! mój Boże!... No, idźmyż panie Pietrze! (*zamiast kapelusza chce włożyć futerał.*)

Czastny Prystaw.

Co pan robisz, to futerał, nie kapelusz.

Horodniczy (*rzuca futerał na ziemię.*)

Futerał? bierz go djabeł! — A jeżeli zapyta się, dla czego nie zbudowano kościoła przy szpitalu, na co już przed pięciu laty

asygnowano pieniądze, to nie zapomnij powiedzieć, że kościół zaczęto robić, ale się spalił. Ja o tem nawet i raport już posyłałem — bo mógłby kto przez zapomnienie, tak niechęć się wygadać, że u nas o nowym kościele nawet i nie słyszano — A! powiedz Dierżymordzie, ażeby nie bardzo dawał woli kułakom, a to on dla porządku kładzie okulary pod oczami winnemu i niewinnemu. Jedźmy, jedźmy panie Pietrze — *(idzie i wraca)* Żołnierzy nie wypuszczać na ulicę bez wszystkiego, bo to bezwstydnie żołdactwo po wierzch koszuli kładzie tylko mundur, a w dole nie ma nic. — *(wszyscy odchodzą.)*

SCENA VI.

ANNA I MARYA *(wybiegają na scenę.)*

Anna.

A gdzie się podzieli? ach mój Boże!... *(otwiera drzwi i woła)* Mężu! panie Antoni! Antolku! *(mówi prędko)* wszystkiemu ty winną jesteś, przez ciebiem się spóźniła. Jak zacnie się ubierać to i końca nie ma, *(głosem cieniutkim.)* Zaraz... tylko jeszcze szpilka, tylko kosynka!... *(bieży do okna i krzyczy)* Antosiu, Antosiu! a gdzież to, gdzie?... Co?... przyjechał?... Rewizor?... z wąsami?... a z jakimi wąsami?...

Horodniczy *(za sceną.)*

Później, duszko! później!...

Anna.

Później? a to znowu co nowego — później! Ja niechęć później... powiedz mi tylko słowo, kto on jest, czy pułkownik? hę?... *(z pogardą)* pejechał! poczekajże, ja ci to przypomnę! *(do córki)* a wszystko ta nie dobrego: „mamo, mamu! zaczekaj! zaraz, tylko zaszpilę kosynkę.“ Otóż twoje zaraz co narobiło! teraz nie wiem o niczem! oh! ta przekłeta kokietera — jak tylko usłyszała Pocz-majstra, dalejże do zwierciadła, migi, dygi, krygi. Wmówiła sobie, że się za nią ubiega, a on tylko żartuje z ciebie, i stroji różne miny, jak się od niego odwrócisz.

Marya.

No, cóż robić mam?... za dwie godziny o wszystkim się dowiemy.

Anna.

Aż za dwie godziny! bardzo dziękuję. Otoż to mi przyjemna odpowiedź. — Czemuż nie powiesz za miesiąc, (*zwiesza się przez okno*) Ej, Awdotja! a co, czy wiesz kto to przyjechał?... nie wiesz? głupia!... machał rękami?... niechajby machał, jednakże mogłaś go się wypytać. — Nie dowiedziałaś się! Oh, ty ośła głowo!... Co, prędko odjechali? czemużes za drążkami nie pobiegła. — Idź, idź mi natychmiast! słyszysz? biegaj, wypytaj się dobrze, gdzie pojechali, co to jest za przyjezdny, czy młody, czy piękny, czy w znaczeniu, rozumiesz?... Zobacz przez dziurkę i przekonaj się o wszystkim: jakie ma oczy — czarne, czy nie — Z wąsami, lub bez nich, etc. — a najdalej za minutę, już bądź tu z powrotem, słyszysz? (*Obie patrzą przez okno — zasłona spada.*)

KONIEC AKTU I.

A K T II.

(Małeńki pokoik w oberży — Łóżko z pościelą, stolik, mała walizka, pusta butelka, buty, miotelka od sukien, fajka z cybuchem, kapczuch i t. p. wszystko w nieładzie).

SCENA I.

Józef (leżąc na pańskim łóżku.)

Niech djabli porwą! jeść chcę okropnie, a w żołądku trzask, burczenie, jak gdyby w nim cały pułk kawaleryi na trwogę trąbił. Otoż podobno i do domu nie dojedziemy, co tu robić?..... Dwa miesiące już minęło, jak wyruszyliśmy z Petersburga! Mój pan przez drogę pieniążki przehulał, a teraz siedzi skromnie jak gołąbeczek. Jednakże wystarczyłoby mu na prohonne i bardzoby wystarczyło; ale cóż, kiedy w każdym mieście trzeba wystąpić, trzeba się pokazać. *(przedrzeźniając swego pana)* „Ej, Józef!... ruszaj! wybierz pokoje najpiękniejsze, zamów obiad najlepszy; nie mogę jeść lada-jakich potraw, rozumiesz? Wprawdzie nie jest to od rzeczy żyć w drodze wygodnie, ale mój pan to istny utracysz!... Zabiera znajomości z przejeżdżającymi, i nie długo czekając, dalej z nimi w karcetki. Dzisiaj szasta, jutro basta! — Eh, prawdziwie, takie nieregularne życie już mi się sprzykrzyło! Na wsi nie równie lepiej: mała ludność, mniej hałasu i kłopotu; złap jakiego babsztyla, leż sobie spokojnie cały wiek na połatce i jedz pirogi. Jużci mówiąc Bogiem a prawdą, to najlepiej żyć w Petersburgu. Aby tylko pieniądze, to można pędzić czas wesoło i przyjemnie: Teatry, tańczące pieski, skoki na linach, konne sztuki, słowem wszystko co zechcesz.

Każdy przemawia uprzejmie i delikatnie. Wejdiesz naprzykład, między kupców, wołają na ciebie: Szanowny Panie! -- Tu stara oficerka zajdzie tobie drogę; tam znowu pokojówka zagładnie ci w oczy, a take... fiu, fiu, fiu!... (*trzęsie głową uśmiechając się.*) Co za galanteryjne obejście! Niegrzecznego słowa nigdy nie usłyszysz, każdy mówi do ciebie: Monsieur. Sprzykrzyło ci się chodzić, bierz doróżkę, siadaj, i jedz sobie jak pan — a nie chesz płacić remiznikowi, zostawia to do twej woli. W każdym domu jest brama na wyłot, przez którą można szmygnąć tak bezpiecznie, że i sam diabeł cię nie znajdzie. — Tylko mi się to nie podobało, że jednego dnia podjesz do woli, a drugiego ledwie że nie pęknie z głodu, jak dziś naprzykład. — A wszystkiemu pan mój winien!... Co z nim robić?... Ojciec przysłał pieniądze, a on zamiast je trochę potrzymać, zamenażować, kręci się z niemi i wierci po wszystkich kątach: piechotą ani kroku nie stąpi, wciąż jeździ remizą — każdego dnia, musisz chodzić do teatru po bilet. Szastum, prastum! a najdalej za tydzień, posyła mnie na tołkuczy rynek sprzedać frak lub tużurek. Czasem wszystko aż do koszuli puści między ludzi i tylko mu zostaje to co na nim, to jest: płaszczyk i surducina.... Nie raz da-libóg! aż za serce ściśnie; sukno najlepsze jakie być może, prawdziwe angielskie, jeden frak półtorasta rubli mu kosztuje, a na rynku każe go sprzedać za dwadzieścia; o pantalonach zaś nie ma co i mówić, te idą za bezcen. A dla czego? oto dla tego, że hultaj, nie robi: zamiast pójść do obowiązku, idzie na spacer, lub na szulerkę. O! gdyby o tem nasz stary pan wiedział! bez względu na to, żeś urzędnik, uchylwszy koszulki, wsypałby ci ze dwieście pomiatełek, ażebyś się poskrobał najmniej dwa tygodnie. Kiedy służył to służy!... Albo i teraz, gospodarz wyraźnie oznajmił: że nie więcej nie da, dopóki mu nie zapłacimy za to, co się już nabrało. Ah!... (*wzdycha*) Mój Boże, żeby tak choć z misę barszczu, albo kapusty!... zdaje mi się, że w tej jednej chwili pożarłbym samego siebie!... (*pukanie*) Ktoś puka, to on zapewne — (*zeskakuje żywo z łóżka i otwiera drzwi.*)

SCENA II.

JÓZEF I CHLESTAKOW.

Chlestakow.

Na weź to! (*oddaje mu laskę i furazerkę*) Jak widzę, znowuś leżał na łóżku?

Józef.

Dlaczegoż miałbym leżeć? Nie widziałem łóżka, czy co?

Chlestakow.

Kłamiesz, leżałeś, bo pościel zgnieciona.

Józef.

Na co mnie pańska pościel? mam nogi, to mogę postać.

Chlestakow (*chodzi po pokoju.*)

Tytuń jest?

Józef.

Nie ma ani okruszyny! przecież przed czterema dniami, pan resztkę wykurzył.

Chlestakow (*chodzi, niecierpliwi się i w rozmaitych kształtach wykrzywia gębę — nakoniec mówi mocnym i stanowczym głosem.*)

Ej, Józef! słuchaj...

Józef.

Co pan każe?

Chlestakow (*mocnym ale nie tak stanowczym głosem.*)

Idź, tam....

Józef.

Gdzie?

Chlestakow (*słabym głosem prawie proszącym.*)

Obok, do bufetu... powiedz.. żeby dali objad, dla nas.

Józef.

Nie, ja nie pójdę.

Chlestakow

Jak ty śmiesz, łotrze!

Józef.

A tak, bo czy ja pójdę czy nie, to wyjdzie na jedno. Gospodarz powiedział, że więcej nie da objadu.

Chlestakow

A toż dla czego?

Józef.

Nawet pójdę, mówi, do Horodniczego; trzy niedziele pije, i je, a jeszcze i kopiejki nie zapłacił. Wy z swoim panem, mówi: łotry i oszusty, a to nam nie nowina!

Chlestakow.

E! a tyś już i kontent, że możesz to wszystko powtórzyć.

Józef.

Przyjedzie, mówi: zamieszka, zadłuży się, potem go i wygnać z domu trudno. Ja, mówi: żartów nie lubię — natychmiast idę ze skargą — i albo pieniądze, albo turma.

Chlestakow.

No, no, dosyć! Osioł!... — ruszaj po objad!

Józef.

To ja lepiej samego gospodarza do pana poproszę.

Chlestakow.

Na co mnie gospodarz? ja chcę objadu.

Józef.

Tak panie, ale

Chlestakow.

Niech cię djabli porwą! idź, już idź! i zawołaj do mnie gospodarza.

Józef (*odchodzi*).

SCENA III.

Chlestakow (*sam*).

Jeść mi się chce zawzięcie. Przeszedłem się cokolwiek, sądząc, że apetyt przejdzie — djabła tam, nie przechodzi. Gdybym był moich pieniążków w Penzie nie przestawał, wystarczyłoby na odjechanie do domu. — Jednakże ten piechotny kapitan zręcznie mnie podchwycił; ale bo też do zadziwienia, jak cudnie stosika przeryzyna. — Wciągu kwadransa ograł mnie do szeląga — Slicznie gra! ah, żebym go mógł jeszcze spotkać, ale jak? na to trzeba czasu, zdarzenia, a ja chciałbym co prędzej dojechać do domu: bo mi ta droga do żywego dojadła. — W rzeczy samej, takie nędzne miasteczko; nie ma w niem nic, co się zowie: nic. — Tu w pobliskim handlu jesiotry jeszcze dość znośne, ale te przekłete kupczyki mało ich dają na spróbowanie, (*prześpiewuje sobie coś z Roberta, potem poświstuje: „Nie szej ty mnie matuszka“ nareszcie ani to ani owo.*) Nikt nie przychodzi.

SCENA IV.

CHLESTAKOW, JÓZEF I KELNER.

Kelner.

Gospodarz kazał mi się zapytać, czego pan potrzebujesz?

Chlestakow.

A, to ty bracie! czyś zdrow, czyś wesół?

Kelner.

Chwała Bogu.

Chlestakow.

Cóż tam słychać u was, czy wszystko idzie dobrze?

Kelner.

Tak, chwała Bogu — wszystko dobrze.

Chlestakow.

Czy dużo przejeżdżających?

Kelner.

Dosyć dużo.

Chlestaków.

Słuchaj no, mój kochany: mnie dotychczas jeszcze obiadu nie przynieśli; otóż bądź łaskaw popędzaj ich, żeby prędzej dawali; bo widzisz, zaraz po obiedzie muszę się czemś zająć.

Kelner.

Ale gospodarz mówił, że już więcej nic na kredyt nie da. Nawet chciał dzisiaj iść do Horodniczego, ze skargą na pana.

Chlestakow.

Na co ta skarga, osądź sam mój kochany — przecież jeść muszę. Inaczej mógłbym śmiertelnie zachorować. Djabelnie dziś jestem głodny, mówię to nie żartem.

Kelner.

Tak w istocie! Ale on powiedział wyraźnie, że nie da objadu, dopóki pan nie zapłacisz za to, co już zjadłeś. Takie są jego własne słowa.

Chlestakow.

A więc go przekonaj, staraj się mu wmówić....

Kelner.

I cóż ja mu powiem?....

Chlestakow.

Zastrasz go — powiedz mu otwarcie, że ja bez jedzenia żyć nie mogę, że muszę jeść koniecznie. Pieniądze, rozumie się, będą zapłacone.... On może myśli, że każdemu tak łatwo być głodnym, jak jemu prostytutkowi! he? Widzisz go!

Kelner.

Dobrze, ja mu powiem: (*odchodzi z Józefem*).

SCENA V.

Chlestakow (*sam*).

Jednakże to będzie szkaradnie, jeżeli on ze wszystkim nie da. A mam wilczy apetyt, jakiego w życiu niedoświadczyłem. Mamże co z moich sukien puścić między żydki? Nie, nie chcę; lepiej byź głodnym, a przyjechać do domu w Petersburgskim kostiumie. Szkoda że mój Nochym nie dał mi na kredyt karety, nie źleby było zajechać do domu w karecie. A jeszcze lepiej wstąpić po drodze do jakiego obywatela, sąsiada; otożbym ich przestraszył!... zawracam pod ganek domu, wyglądają z okna i szepeczą do siebie. Co to jest? kto to taki? mój Józef w szamerowanej złotem liberyi, wchodzi do pokoju i melduje: „Pan Aleksander Chlestakow z Petersburga, panowie przyjmują?“ Te prostytutki, nie wiedzą nawet co to znaczy: „panowie przyjmują“ stoją z rozdziawionemi gębami; bo do nich jeżeli i przyjedzie jaki niedźwiedź obywatel, to zaraz wyłazi z bryczki, a nie mówiąc ani słowa, wali prosto do pokoju — wchodzę więc, witam gospodynię i gospodarza, zbliżam się do ślicznej córeczki i mówię: ah! pani, jakżem... Tfu! (*pluje*) aż mi ekliwo, tak jeść chcę.

SCENA VI.

CHLESTAKOW, JÓZEF, *potem* KELNER.**Chlestakow.**

A co?

Józef.

Już niosą.

Chlestakow (*klaszcze w dłonie i podskakując na krześle.*)

Niosą, niosą, niosą!...

Kelner (*z serwetą i talerzami.*)

Gospodarz mówił, że już ostatni raz daje panu obiad.

Chlestakow.Gospodarz, gospodarz... ja drwię z twojego gospodarza! —
A co tam takiego?**Kelner.**

Zupa i pieczyste.

Chlestakow.

Tylko dwa dania?

Kelner.

Tylko.

Chlestakow.A to co ma znaczyć, he? — Ja tego nie przyjmuję. Powiedz
mu mój kochany, że to w samej rzeczy za mało.**Kelner.**

Nie, gospodarz mówi, że to za wiele.

Chlestakow.

A to dla czego niema potrawy?

Kelner.

Bo nie ma.

Chlestakow.

Jakto niema! przecieżem widział, przechodząc koło kuchni, jak gotowano ryby i kotlety.

Kelner.

Być może, dla tych, którzy coś znaczą.

Chlestakow.

Ah ty, łotrze! gamoniu! głupcze!

Kelner.

Tak panie!

Chlestakow.

Capie! nie dobrego!... Czy oni nie tak jedzą jak ja?... dla czegożbym więc nie miał jeść tego co i oni?... albożem nie taki pasażer jak drugi?

Kelner.

Wiadomo, że nie taki.

Chlestakow.

Jakiż, jaki?

Kelner.

Jak zwyczajnie!... tamci płacą gotówką.

Chlestakow.

Z tobą ośle niema co i gadać. (*nalewa zupę i je.*) Co to za zupa? to woda, żadnego smaku, stęchła, przysmalona. Niechęć takiej zupy przynies inną.

Kelner.

Dobrze panie. Gospodarz mówił, że jeżeli pan zechcesz to nie da.

Chlestakow (*zastłania rękami jedzenie.*)

No, no, no... zostaw! przywykłeś obchodzić się niegrzecznie z drugimi, to myślisz że i zemną tak można; ja bracie jestem in-

nego rodzaju, nie radzę tobie... (*zajada*) Tfu! co za szkaradna zupa! (*przestaje jeść.*) Ręczę, że żaden człowiek w świecie nie jadł takiej zupy. Jakieś pióra pływają w miejscu masła. (*kraje kuraka*) Aj, aj, aj, jakaż twarda kura!... Daj pieczone!... Tam na dnie jest jeszcze cokolwiek. Józefie, dokończ za mnie. (*kraje pieczone*) Cóż to za potrawa? to ma być pieczone.

Kelner.

A cóż?

Chlestakow!

Djabli wiedzą co, dość że nie pieczenia — kawał drzewa zgotowanego. (*zajada*) Oszusty! Szalbierze! czem ludzi karmią! — wszystkie zęby wylecą, nim zjesz jeden kawałek. (*dlubie palcem w zębach*) Łajdaki! wydrwigrosze! zupełnie jak kora od drzewa, niczem wyjąć nie można — złodzieje! (*wyciera gębę serwetą*) Więcej nie ma nic?

Kelner.

Nie!

Chlestakow.

Rozbójniki!... żeby też choć powąchać jakiegokolwiek mel-szypaju... Rzezimieszki! obdzierają tylko przejezdnych. (*Kelner z Józefem sprzątają i wynoszą talerze.*)

SCENA VII.

CHLESTAKOW, później JOZEF.

Chlestakow.

W istocie, jakbym nic w gębie niewidział; tylko się rozłakomiłem. Ah! żebym miał drobne, natychmiast posłałbym na rynek, chociaż po bułki.

Józef (*wchodząc.*)

Tam przyjechał Horodniczy, rozpytuje się o panu i chce się z nim zobaczyć.

Chlestakow (*przelekniomy.*)

Otóż masz! — Dalibóg, tego się nie spodziewałem... To bestya traktyernik! może w samej rzeczy zawlecze mię do turmy?.. To i cóż? jeżeli tylko grzecznie poprosi, to jeszcze pół biedy i owszem, pójdę... ale nie, co ja mówię?... Wczoraj tak mile spoglądały na mnie dwie kupieckie córeczki, oficerowie także bezustannie chodzą po ulicy... Nie, za nic nie pójdę. On nie może tego żądać odemnie; tak się postępuje tylko z mieszczaninem, albo jakim rzemieślnikiem... Nie ja się wzięść niedam! (*nabiera odwagi i rezonu*) Powiem mu wyraźnie: jak pan śmiesz!.. ja niechęę... (*drzwi się poruszają, Chlestakow blednieje.*)

SCENA VIII.

CHLESTAKOW, HORODNICZY i DOBCZYŃSKI.

(*Horodniczy wszedł i zatrzymał się — oba z Chlestakowem patrzą na siebie wytrzeszczywszy oczy.*)

Horodniczy (*poprawiając się nieco i wyciągając rękę ku szpadzie.*)

Mam honor złożyć panu Dobrodz. moją uniżoność.

Chlestakow (*klaniając się.*)

Ja nawzajem.

Horodniczy.

Przepraszam, że....

Chlestakow.

Nie to, nie!...

Horodniczy.

Obowiązek mój nakazuje mi jako naczelnikowi miasta, troszczyć się o to, ażeby przejeżdżające i wszystkie dystyngowane osoby, nie doznawały w mojem mieście żadnego prześladowania.

Chlestakow (*z początku się jąka, a pod koniec kwestyi mówi głosem donośnym.*)

Cóż robić!... jam temu nie winien... ale na honor zapłacę... mnie przyszlą z majątku. (*Bobczyński przez drzwi wygląda*) On bardziej winien, piecyste dał tak twarde jak drzewo, a zupę... djabel wie co to było na miejscu zupy, zmuszony byłem wylać ją przez okno. On mnie głodem po całych dniach morzył... herbata najgorsza, trąci rybą, a nie herbatą. Za cóż więc mam?

Horodniczy (*z tchórzostwem.*)

Daruj pan dobrodziej, ja prawdziwie, nie nie jestem winien. Na rynku mięso zawsze dobre. Przywożą je Chołmogorsey kupcy, ludzie trzeźwi i dobrego prowadzenia. Nie wiem zkąd tutejszy traktiernik bierze takie złe mięso. — Jeżeli pan pozwoli, możemy się przejechać do innego mieszkania.

Chlestakow.

Nie, ja niechcę, rozumiem, co znaczy to inne mieszkanie, to jest turma. Za cóż mnie... pan nie możesz... nie masz na to prawa... ja pokażę podorożne... jestem urzędnikiem, jadę do własnego mojego majątku w Saratowskiej Gubernii, służę w ministerium.... pan się nie ośmielisz... ja będę się skarżył.

Horodniczy. (*n. s.*)

O! Boże, już wie o wszystkim.... A jaki złoźnik! Wszystko mu już powiedzieli ci przekłęci kupcy.

Chlestakow (*odważnie.*)

Jak pan śmiesz!... mnie zna sam minister... Nie, nie pójde! dalibóg nie pójde, chociażby tu cała pańska komenda przyszła.... (*n. s.*) Nie dam się wiaść, słowo honoru, nie dam się wiaść!... a jeśliby broń Boże!... to!... (*bierze w tyle ręką stojącą na stole butelkę.*)

Horodniczy (*wyciągnawszy się trzęsie całym korpusem.*)

Panie! zmiłuj się, nie gub mnie!... Żona, maleńkie dziatki... nie rób nas nieszczęśliwymi.

Chlestakow.

Nie, ja nie chcę. Co mnie tam! dla tego że pan masz żonę i dzieci, mam iść do turmy, doskonale! — (*Bobczyński przez drzwi wygląda i ze strachem chowa się*) Nie, bardzo dziękuję, nie chcę.

Horodniczy (drząc.)

Niedoświadczenie!... niemożność utrzymania się... pensya za szczupłą, ledwie na cukier i herbatę wystarcza. Jeżeli więc czasem wzięło się jaki datek lub podarek, to prawie nie nieznaczący drobiazg, na przykład: coś do zjedzenia, albo z odzieży. — Co zaś do podoficerskiej żony, trudniącej się kupiectwem, która jakoby z rozkazu mojego została wychłostaną, to jest potwarz, dalibóg, potwarz!! Wszystko to wymyślili moi nieprzyjaciele. Ci złośliwi ludzie, nawet na życie moje nastawać gotowi.

Chlestakow.

Tak zapewne... (*z namysłem*) Nie wiem jednakże, dla czego pan mówisz mi o złośliwych ludziach, o jakiejś podoficerskiej żonie?.. nie mam z nią żadnej znajomości. Podoficerska żona a ja, to wielka różnica, mnie pan nieodwarzysz się chłostać. To byłoby za wiele!.. Ja należność zapłacę, tylko w tej chwili nie mogę tego uczynić, bo nie mam ani grosza przy duszy I oto właśnie przyczyna, dla której muszę siedzieć tu tak długo.

Horodniczy (n. s.)

Co za przezorność!... Widzisz go gdzie skoczył! jak zgrabnie oczy zamydlił!... Proszę go tu zrozumieć. Nie wiem teraz z jakiej beczki zacząć. E, spróbujmy, może się uda. (*głośno*) Jeżeli pan dobrodziej w istocie potrzebujesz pieniędzy, lub czego innego, to ja gotów natychmiast tem mu się przysłużyć. Moim obowiązkiem jest pomagać przejeżdżającym.

Chlestakow.

Więc pan mi pożyczasz?... o jeżeli tak, to będę mógł natychmiast rozplacić się z traktyernikiem — a na to jakie ze dwieście rubelków aż nadto wystarczy; — które za przybyciem moim do majątku, zwrócę panu z podziękowaniem... a to jak najprędzej!

Horodniczy.

Ach panie! gotów jestem czekać wiele się jemu podoba, mógł-
żebym się odwarzać naznaczać termin wypłaty. — Oto tu, jest jak
raz dwieście rubli, nawet i liczyć niepotrzeba.

Chlestakow. (*biorąc pieniądze*)

Bardzo dziękuję — mocno mu jestem obowiązany. Przyznam
się, że mnie to niezmiernie ucieszyło; bo nie miałem już ani grosza.
Pan jak uważam, jesteś człowiek grzeczny, dostojny; a z początku
myślałem że... (*kładzie pieniądze do kieszeni.*)

Horodniczy. (*n. s.*)

No, chwała Bogu! wziął pieniądze. Teraz wszystko pójdzie
dobrze. Zamiast dwiestu, wetknąłem mu czterysta.

Chlestakow.

Ej! Józef! (*Józef wchodzi*) Siadaj pan! (*do Horodniczego
i Dobczyńskiego*) Dla czegoż panowie stoicie? zmiłujcie się siadajcie.
(*do Dobczyńskiego.*) Siadaj pan, bardzo proszę.

Horodniczy.

Nie to postojimy.

Chlestakow.

Ależ siadajcież panowie, ja proszę, bardzo proszę! — (*do
Dobczyńskiego*) Siadaj pan! (*Horodniczy z Dobczyńskim siadają;
Dobczyński przez drzwi zagląda.*)

Horodniczy. (*n. s.*)

Trzeba się ośmielić. Chce jak widzę obstawać przy swoim
incognito. Dobrze, utwierdźmy go w tem mniemaniu i udajmy,
jakbyśmy go nieznali, i o niczem nie wiedzieli. (*głośno*) Ja z Piotrem
Iwanowiczem Dobczyńskim, tutejszym obywatelem, przechodząc tędy
za interesem mojej służby, umyślnie wstąpiliśmy do oberży, dla
przekonania się czyli przejeżdżający są dobrze usłużeni, bo nie je-
stem z rzędu tych Horodniczych, którzy o niczem nie wiedzą; nie,
ja extra obowiązku jedynie z chrześcijańskiej miłości bliźniego, chcę
żeby każdy podróżny był tu dobrze przyjmowanym; i o to w na-

grodę za gorliwe moje zajęcie, przypadek zrządził mi przyjemność poznania jego zacnej osoby.

Chlestakow.

Mnie również, bez pana bowiem, przymuszony byłbym siedzieć tu Bóg wie jak długo, nie widzę nawet sposobu wywdzięczenia się za tak ważną przysługę.

Horodniczy. (n. s.)

Tak, tak, gadaj zdrów! (*głośno*) Wolnoż mi zapytać, gdzie, i w jakie miejsce odbywasz pan swoją podróż?

Chlestakow.

Jadę do Saratowskiej Gubernii, do własnego mojego majątku.

Horodniczy (n. s. z ironią.)

Do Saratowskiej gubernii! o to zmyśla! (*głośno*) Tak przyjemna przejażdżka dla umysłu i serca. W podróży rozwijają się zdolności... I pan pewnie z własnej woli, tak dla satysfakcyi tylko przedsięwziął tę podróż.

Chlestakow.

Nie, ojciec mnie wzywa — a ja mówiąc prawdę, wolałbym mieszkać w Petersburgu.

Horodniczy. (n. s.)

Ojciec go wzywa... Co za wybieg! — (*głośno*) A jak długo pan myślisz tam bawić?

Chlestakow.

Nie wiem. Choć nieprzyjemnie jest siedzieć w domu, i nudzić się z wieśniakami, bo nasi sąsiedni obywatele są to nieokrzesani ludzie bez żadnej formy; jednakże podałem się do dymissy.

Horodniczy. (n. s.)

I do dymisy się podałeś! Brawo! co raz lepiej! (*głośno*) Bardzo pięknie pan zrobił. Co za korzyść ze służby? same kłopoty: nocny nie dośpisz, tracisz zdrowie dla dobra kraju, a nagroda nie-

wiadomo jaka i kiedy. — (*rzucając wzrokiem na ściany pokoju*). Co to za wilgoć!... ściany zupełnie mokre... Mnie się zdaje, że to mieszkanie jest dla pana za ciasne i niewygodne.

Chlestakow.

Prawda — najgorsze jakie być może, zimne, wilgotne, ciemne.

Horodniczy.

Mogę się ośmielić, najpokorniej upraszać pana dobrodzieja, o jedno najlaskawsze zezwolenie. którego być może, nie jestem godzien...

Chlestakow.

Cóż takiego?

Horodniczy.

Oto .. czy nie raczyłbyś pan dobrodziej przenieść się do mojego domku: mam dla niego bardzo wygodny pokój.

Chlestakow (*z namysłem*)

Jakto do pana?

Horodniczy.

Tak, prześliczny pokoik. Stół również choć nie wytworny, ale gospodarski — produkta świeże, nietakie jak w traktyerni. Nie chciał pan odmawiać: mocno mnie tem uszczęśliwisz... Gościnność jest moim żywiołem, wszystko co mam, gotów jestem oddać; a zwłaszcza dla tak dostojnego gościa. Nie myśl pan dobrodziej, że bym to mówił z pochlebstwa — Nie, tej wady ja nie mam i mówię to co czuję.

Chlestakow.

Dziękuję najpokorniej. Ja także pokochałem pana za pierwszym wejrzeniem,

SCENA IX.

CIŻ i KELNER *wprowadzony przez JÓZEFA, BOBCZYŃSKI wygląda ciągle przez drzwi.*

Kelner.

Kazałeś pan mię przywołać?

Chlestakow.

Tak — Daj mi twój rejestr.

Kelner.

Już dawno, podałem panu niejeden, ale dwa rejestra.

Chlestakow.

Jest o czem pamiętać, o twoich głupich rejestrach. A co się należy?

Kelner.

Pierwszego dnia: Pan kazał dać cały obiad; drugiego tylko zakąskę z łososia, i tak dalej, a wszystko na kredyt.

Chlestakow (*chcąc dobyć pieniądze.*)

Milez gapiu!... jeszcze wylicza. — Wiele się należy w ogóle?

Horodniczy.

Nie masz nic pilnego, on zaczeka. (*do Kelnera*) Precz ztąd! później wam się odeszle.

Chlestakow.

Tak, w samej rzeczy. (*chowa pieniądze. Kelner z Józefem odchodzi. — Bobczyński wygląda.*)

SCENA X.

HORODNICZY, CHLESTAKOW, DOBCZYŃSKI.

Horodniczy.

Czy nie raczy pan dobrodziej, obejrzeć teraz niektóre zakłady naszego miasta, jako to: Szpitale i inne?

Chlestakow.

A to na co?

Horodniczy.

Tak, dla rozmaitości — przekonać się o porządku i biegu naszych zatrudnień... a to dla badawczego umysłu, koniecznie jest potrzebnem; z tego czerpać można wiele przyjemnych i pożytecznych wiadomości.

Chlestakow.

Z największym ukontentowaniem, gotów jestem służyć panu.

Horodniczy.

Także, jeśli to będzie jego życzeniem, udamy się stamtąd do powiatowej szkółki, dla obejrzenia i przekonania się o postępie nauk i sposobie ich wykładania.

Chlestakow.

I owszem, i owszem.

Horodniczy.

W końcu, jeżeli się podoba, zwiedzimy ostróg i inne miejskie więzienia — zobaczysz pan, jak u nas utrzymują winowajców.

Chlestakow.

A, do ostrogu — nie — obejrzymy lepiej szpitale.

Horodniczy.

To zależy od jego rozkazu. — Jakaż jest pana wola, jechać własnym ekwipażem, czy razem ze mną na drążkach.

Chlestakow.

Tak, lepiej na drążkach.

Horodniczy (*do Dobczyńskiego.*)

No, panie Pietrze, musisz zostać; nie ma dla ciebie miejsca.

Dobczyński.

Nie to, ja tak...

Horodniczy.

Oto zajdź lepiej do mnie, i powiedz mojej żonie... albo nie, dam ci karteczkę. *(do Chlestakowa)* Mogę się ośmielić, prosić pana dobrodzieja o łaskawe pozwolenie napisania w jego obecności, kilku wierszy do mojej żony, ażeby się przygotowała z przyjęciem tak zacnego gościa.

Chlestakow.

Na co te ceremonije; wreszcie pisz pan, bardzo proszę, oto atrament i pióro... tylko nie ma papieru, nie wiem... chyba na tym rejestrze.

Horodniczy.

Dobrze, gdziekolwiek. *(pisze i oddaje Dobczyńskiemu, który idzie do drzwi, w tym momencie drzwi się wywracają i podsluchujący Bobczyński, leci razem z drzwiami na scenę i pada na ziemię. Wszyscy wydają krzyk, Bobczyński wstaje.)*

Chlestakow.

Cóż to? skaleczyłeś się pan?

Bobczyński.

Nie to, nie; tylko na wierzchu nosa maleńka rana. Zajdę do naszego doktora, on da mi plaster, a wszystko przejdzie.

Horodniczy *(grozi Bobczyńskiemu i mówi do Chlestakowa.)*

Proszę pana dobrodz: niech pan raczy!... A pański służący, może zanieść walizkę. *(do Józefa)* Słuchaj mój kochany, przeniesiesz wszystkie rzeczy do mnie, do Horodniczego rozumiesz? każdy ci moje mieszkanie pokaże. Proszę pana dobrodz. *(przypuszcza naprzed Chlestakowa i idąc za nim, obraca się do Bobczyńskiego i mówi z nieukontentowaniem.)* E! nie mogłeś znaleźć innego miejsca do upadnięcia!... rozciągnął się, jak djabeł wie co! *(wybiega — za nim zwolna Bobczyński. Zasłona spada.)*

KONIEC AKTU II.

AKT III.

(Pokój pierwszego aktu).

SCENA 1.

ANNA, MARYA.

(Stoją przy oknie w tychże samych pozycjach jak przy końcu pierwszego aktu).

Anna.

Otóż już całą godzinę czekamy, a ja nie jeszcze nie wiem; a wszystkiemu winne twoje głupie krygi i przesadzona elegancya — już była ubraną — nie, jeszcze biega, szpera, szuka... lepiej gdybym cię była wcale nie słuchała. — Co to za zgryzota! żywej duszy nie widać, jakby wszyscy wymarli?

Marya.

To prawda, mamó; ale najdalej za dwie minuty, dowiemy się wszystkiego. Awdotji tylko co nie widać, (*przypatrując się w oknie i krzycząc:*) Ah! mamó, mamó! patrz, kto to tam idzie w końcu ulicy?...

Anna.

Gdzie? zawsze jesteś w przewidzeniach... (*patrzy*) Ale tak, któżby to był?... niskiego wzrostu... we fraku... kto to taki?

Marya.

To Dobeżyński, mamó.

Anna.

Jaki Dobczyński... Tobie się zawsze coś wyobraża... To zupełnie kto inny. (*macha ręką*) Hej panie, panie! proszę tu do nas! pędzej!

Marya.

Doprawdy mamó, to Dobczyński.

Anna.

I znowu — aby się tylko sprzeciwić. Mówię ci, że to nie on.

Marya.

A co? a co, mamó? widzisz że to on sam.

Anna.

A, tak... to Dobczyński, teraz dobrze widzę — na cóż się sprzeczała? (*krzyczy w okno*) Pędzej, pędzej! jeszcze pędzej. No, cóż tam? gdzież oni są? he?... Mówisz pan tak cicho, że nie słyszę. — Co? bardzo srogi?... he?... A mąż mój, mąż?... (*odstępując od okna mówi z nieukontentowaniem*). Co za głupiec, niechce mi powiedzieć, dopóki nie wejdzie!

SCENA II.

CIŻ I DOBCZYŃSKI.

Anna.

No, powiedz mi pan proszę: czy masz sumienie? Ja w nim jednym całą ufność pokładałam, jako w człowieku uczciwym: wszyscy z domu powychodzili i pan za nimi! a ja dotąd od nikogo nie dowiedzieć się nie mogę! nie wstydzisz że się pan?... ja trzymałam do chrztu jego dwoje dzieci: Walusia i Dorotkę, a pan tak ze mną postępujesz!

Dobczyński.

Dalibóg, kumeczko, tak żywo biegłem złożyć ci moją uniżoność, że dotąd tchu złapać nie mogę. Witam pannę Maryannę!

Marya.

Sługa uniżona.

Anna.

No, i cóż? mów pan prędzej: co, jak, i gdzie?

Dobczyński.

Mąż pani, przysłał jej tę karteczkę.

Anna.

Daj pan, a tenże przyjezdny, kto on jest? Czy generał?

Dobczyński.

Nie, nie generał; ale nie ustąpi w niczem nawet i generałowi. Człowiek pełen wiadomości i głębokiej nauki; a jaka uprzejmość!

Anna.

Więc to ten sam, o którym mojemu mężowi doniesiono?

Dobczyński.

Zupełnie ten sam. Myśmy z panem Bobczyńskim najprzód go spotkali.

Anna.

Mówże pan, mów: co tam, i jak?

Dobczyński.

Chwała Bogu, wszystko poszło pomyślnie. Z początku przyjął pana Antoniego, cokolwiek surowo: gniewał się, rzucał, mówił że w oberży wszystko najgorsze. że do męża pani za nic nie pojedzie, i nie chce siedzieć za niego w turmie; ale później, gdy się przekonał o niewinności pana Antoniego, i gdy pokrótce z sobą się już rozmówili; natychmiast zmienił swój humor, i Bogu dzięki! wszystko się najlepiej skończyło. Teraz pojechali razem oglądać szpitala.... a to wyznać muszę, mąż pani już myślał, czy czasem nie było na niego jakiego sekretnego doniesienia; ja sam także cokolwiek się przestraszyłem.

Anna.

A to czego? przecież pan nie służysz.

Bobczyński.

Ot tak — widzisz pani, kiedy kto z ważnych figur mówi, to człowieka jakiś strach przechodzi.

Anna.

No, jakże?... to wszystko nie. Powiedz pan jak on wygląda, ładny czy brzydki, młody czy stary?

Dobczyński.

Młody, młody mężczyzna, tak około lat dwudziestu trzech nie więcej; a mówi zupełnie jak stary. — I owszem, powiada, z największym ukontentowaniem, ja pojedę wszędzie, i tu, i tam... (*macha rękami*) To bardzo chwalebne! Ja, powiada, lubię coś przeczytać, napisać; ale to ciemne mieszkanie powiada, nie dozwala mi tem się zająć.

Anna.

Jakże on wygląda? blondyn, czy brunet?

Dobczyński.

Nie, szatyn; a oko takie bystre, jak żywe srebro: nawskróś przenikające.

Anna.

Zobaczmy co mąż pisze w tej karteczce. (*Czyta*) „Spieszę zawiadomić ciebie duszko, że położenie moje było bardzo smutne, ale pokładam ufność w miłosierdziu Bożem... za dwa solone ogórki, przytem pół porcy kawioru, rubel srebrem jeden i kopiejek 25“... (*zastanawia się*) Nic nie rozumiem, co on tu wspomina o jakichś solonych ogórkach i kawiorze?

Dobczyński.

A, to pan Antoni przez prędkość, w niedostatku czystego papieru, napisał na jakimś rejestrze.

Anna

Tak, w istocie! (*czyta dalej*) „Ale pokładam ufność w miłosierdziu Bożem, że wszystko najlepiej się skończy. Przygotuj co prę-

dziej pokój dla naszego zacnego gościa; ten, z żółtem obiciem. — Na objad nie rób więcej jak zwykle, bo będziem śniadać w szpitalu u pana Ziemeniki. Wina zaś każ więcej przynieść — powiedz kupcowi Abdulinowi, żeby przysłał najlepszego, inaczej cały jego sklep przeryję. Całując duszko, twoje rączki, zostaje na zawsze kochającym cię małżonkiem. Antoni Skwoźnik-Dmuchanowski, Horodniczy“... (*mówi*) Ah! mój Boże! trzeba zatem spieszyć! Ej! jest tam kto? Michałek!

Dobczyński (*biegnie do drzwi i woła*)

Michałek! Michałek! Michałek!! (*Michałek wchodzi.*)

Anna (*do Michałka*)

Słuchaj: pójdziesz do kupca Abdulina... Czekaj, dam ci karteczkę. (*Siada do stołu i pisząc mówi*) Oddasz ją kuczerowi Sidorowi, ażeby z nią poszedł do kupca Abdulina po wino. Ty zaś wracaj natychmiast i uprzątnij co żywo pokój dla przyjezdnego gościa. Postawisz w nim łóżko, myjnicę i etc.

Dobczyński.

A ja pani Horodniczyno, pobiegnę zobaczyć, jak tam idzie rewizya.

Anna.

Idź, kumeczko, idź, niechcę cię zatrzymywać.

SCENA III.

ANNA i MARYA.

Anna.

A my moja córko, zajmijmy się teraz naszą toaletą. Jest to modny kawaler, przybywa ze stolicy; broń Boże by nas nie wyśmiał; tobie najprzyzwoiciej będzie wziąć błękitną suknię z wązkiemi falbankami.

Marya.

Fi, mamó, błękitną! ona mi się wcale nie podoba... panna Sędzianka, ciągle chodzi w błękiecie; córka pana Ziemeniki także. Nie, lepiej włożę tę z kwiatami.

Anna.

Z kwiatami!... dobrze mówisz, to będzie daleko lepiej, bo ja chcę wziąć paliową... bardzo lubię kolor paliowy.

Marya.

Ah! mamó! paliowy kolor tobie nie do twarzy!

Anna.

Co, nie do twarzy?

Marya.

Jak mamę kocham, nie do twarzy — do tego koloru trzeba mieć oczy ciemne.

Anna.

A to dobrze! alboż moje nie ciemne? prawdziwe ciemne. Ot! pleciesz sama nie wiesz co. Nie ciemne! jakże mogą być nie ciemne, kiedy nasza kabalarka kładnie mię w trefowej damie.

Marya.

Ah, mama bardziej na czerwioną damę wygląda.

Anna.

Bajki, prawdziwe bajki! Ja nigdy czerwioną damą nie byłam! *(odchodzi śpiesznie z Maryą i mówi za sceną)* Jak można to nawet do głowy przypuścić! czerwioną damą! ha, ha, ha! nie wiem dla czego? *(po ich odejściu, drzwi boczne się otwierają, a z nich Michałek wymiata śmiecie. Józef wychodzi ze drzwi środkowych niosąc na głowie walizkę.)*

SCENA 1V.

MICHAŁEK i JÓZEF.

Józef.

A gdzie mam nieść?

Michalek.

Tutaj, staruszk, tutaj..

Józef.

Poczekaj, niech wprzódki odetchnę. Ah to nędzne życie! kiedy pusty żołądek, to wszystko zdaje się być ciężkiem.

Michalek.

A co staruszk: czy generał prędko do nas zawita?

Józef.

Jaki generał?

Michalek.

A twój pan?

Józef.

Mój pan? co on za generał?

Michalek.

Cóż, może nie generał?

Józef.

Generał, ale nie z tych generałów.

Michalek.

Czy to więcej, czy mniej od prawdziwego generała?

Józef.

Więcej!

Michalek.

Widzisz no go! — To u nas będzie bieżanina.

Józef.

Słuchaj no, mały: jak uważam jesteś zwinny chłopak, postaraj się tam cokolwiek przekąsić.

Michalek.

Dla was staruszku, jeszcze nic nie gotowe. Prosty potraw wasan jeść nie będziesz. Ale jak pan generał siądzie do stołu, to i dla wasana dadzą toż samo jedzenie.

Józef.

No, to dobrze — a z prostych potraw, co tam macie gotowego.

Michalek.

Barszcz, kasza, pirogi.

Józef.

Dawajcie ich tutaj! nie to, zrepetujemy gładko. No, pomóż mi zanieść walizkę. — Co widzę? tu jest drugi wychód?

Michalek.

Tak jest, *(oba wynoszą walizę w oboczne drzwi)*.

SCENA V.

(Kwartalni otwierają obie połowy drzwi środkowych — CHLESTAKOW wchodzi — za nim HORODNICZY, CHŁOPOW — dalej ZIEMLENIKA, DOBCZYŃSKI i BOBCZYŃSKI z plastrem na nosie; HORODNICZY pokazuje Kwartalnym leżącą na ziemi bumażkę, którzy biegną ją podjąć, popychając jeden drugiego).

Chlestakow.

Piękne zakłady. Mnie się to bardzo podoba, że tu u panów pokazują podróżnym wszystkie osobliwości miasta. W innych miejscach nie mi nie pokazywano.

Horodniczy.

Ośmielam się na mienić panu, że w innych miejscach, naczel-

nicy miasta i urzędnicy więcej dbają o swą własną korzyść; a tu, prawdę mówiąc, niema innych zamiarów nad ten, ażeby dobrym porządkiem i troskliwością, na siebie uwagę zwierzchności zwrócić.

Chlestakow.

Śniadanie również było wyborne. Czy u panów każdodziennie bywają podobne przekąski?

Horodniczy.

Nie, sporządzono je umyślnie dla tak zacnego i przyjemnego gościa.

Chlestakow.

Bardzo dziękuję! Wina także wysmienite; nie spodziewałem się, aby w tak małym miasteczku, można je było znaleźć. Ale, ale, a jak się nazywa ta ryba, którąśmy z takim apetytem zajadali.

Ziemenika.

Sterla.

Chlestakow.

A bardzo smaczna, dawno już takiej nie jadłem. Ale gdzieżemy to śniadali? zdaje się że w szpitalu.

Ziemenika.

Tak jest.

Chlestakow.

Pamiętam, pamiętam. — Tam stały łóżka. A chorzy to zapewne wyzdrowieli? bo ich było bardzo mało.

Ziemenika.

Dziesięciu nie więcej pozostało; reszta wszyscy wyzdrowieli. Taki jest tu zwyczaj i porządek. Odtąd jak objąłem nadzór nad tutejszemi szpitalami, może to panu okaże się dziwnem, wszyscy prędko wyzdrowiają jak muchy. Chory zaledwie zdąży wejść do lazaretu, jużci i zdrowiuteńki; nie tyle od lekarstwa, jak przez regularność i dobre utrzymanie.

Horodniczy.

A od czegoż byłby, kłopotliwy i zbyt trudny obowiązek naczelnika miasta! — Stosy są różnych dzieł, dotyczących się samego porządku, zabudowania, oczyszczenia, reperacji, przerabiania... słowem najrozumniejszy człowiek, musiałby tu zgłupieć — jednakże dzięki Bogu, wszystko idzie jak należy. Inny Horodniczy, bez wątpienia, dbałby tylko o swoje wygody; a ja czy powierzysz pan, nawet leżąc w łóżku, wszystko myślę: o Boże, mój Boże! jakby to, lub owo urządzić, ażeby zwierzchność widziała moją gorliwość i była ze mnie zadowolona... Czy czeka mnie za to jaka nagroda lub nie, oto się nie troszczę; abym tylko był spokojny w duszy i nie miał nic na sumieniu. Kiedy moje miasto dobrze uporządkowane, ulice wymiecione, aresztanci dobrze utrzymeni, pijanych mało... wtenczas jestem najszczęśliwszy, i nie dbam o żadne zaszczyty — Wprawdzie one nieco pociągają, łechcą; ale przeciwko uczciwości i dobroczynieniu wszystko jest prochem i marnością.

Ziemenika (n. s).

O! hultaj jak rozprawia! trzebaż mieć tak wyprawny język!

Chlestakow.

Tak, i ja lubię czasem rozumować i filozofować, kiedy niekiedy prozą, kiedy niekiedy wierszem przebąknąć.

Bobczyński (do Dobczyńskiego).

Słusznie i sprawiedliwie, panie Pietrze. Takie uwagi!.. widać, że posiada głęboką edukacją.

Chlestakow.

Powiedcież mi panowie proszę, czy niema tu u was takich towarzystw, gdzieby można było... naprzykład, pograć w karty.

Horodniczy (n. s.)

Ehe! rozumiem, wiem do czego pijesz! (*głośno*) a! Boże uchwaj! nikt nawet niesłyszał o podobnych towarzystwach. Ja kart nigdy i w rękę niebiorę; nie wiem jakie są gry kartowe — nie mogę nawet patrzeć na nie z obojętnością, a jeżeli przypad-

kiem, zdarzy mi się spostrzedz jakiego dzwonkowego króla, lub coś podobnego, to taki wstręt mnie ogarnie, że mimo woli odwracam oczy i wychodzę. Zdarzyło się raz, że bawiąc dzieci, wystroiłem im domek z kart, to przez całą noc śniły mi się przekłete obrazki. Pan Bóg z niemi, nie wiem jak można, tak drogi czas przy kartach przepędzać.

Chłopow (*n. s.*)

To łotr! a wczoraj u mnie sto rubli wyponiterował.

Horodniczy.

Nie lepiejże te chwile dla dobra kraju poświęcić.

Chlestakow.

Nie, źle pan mówisz. To od tego jak kto gra. Ma się rozumieć, jeśli kto zabastuje, wówczas, kiedy powinien grać na trzy rogi, to... Nie; gra w karty czasami jest nieodbitie potrzebną, a nawet i bardzo pożyteczną.

SCENA VII.

CIŻ — ANNA I MARYA.

Horodniczy.

Ośmielam się przedstawić panu moją familiją: żonę i córkę.

Chlestakow (*klaniając się*).

Jakże jestem szczęśliwy, że mam tę przyjemność panie oglądać.

Anna.

Wielki to jest zaszczyt dla nas, mieć w naszym domu tak zacnego i dostojnego gościa.

Chlestakow.

Ah! Pani! ja to raczej winien...

Anna.

Proszę pana siadać.

Chlestakow.

Przy pani stać, już jest wielkiem szczęściem; wreszcie kiedy pani dobrodziejka chcesz tego koniecznie, więc siadam. Jakże jestem szczęśliwy, że nakoniec siedzę obok pani.

Anna.

Nigdy się nie ośmielę, brać to na moje conto. — Ja myślę, że wyjazd ze stolicy, musiał panu stać się bardzo nieprzyjemnym.

Chlestakow.

Nadzwyczaj był nieprzyjemnym. Przywykły żyć na wielkim świecie, używać stołecznych roskoszy, i nagle wyrzec się wszystkiego dla jakiejś tam podróży. . . gdzie nie spotkało się, ani jednej figury do ludzi podobnej, z którąby można pomówić rozsądnie. — Pisarze pocztowi są prostaki, bez żadnej edukacji. . . I gdyby nie ten szczęśliwy wypadek, który mi nastąpił tak miłą znajomością, (*spoglądając czule na Annę*) nie poznałbym sam siebie.

Anna.

W samej rzeczy, pan się musisz nudzić.

Chlestakow.

Jednakże ta chwila jest mi nader przyjemną.

Anna.

Za wiele zaszczytu. Nie zasługuję na to.

Chlestakow.

O zasługujesz pani i bardzo.

Anna.

Jestem wieśniaczką. . .

Chlestakow.

Tak, w istocie; ale i wieś ma swoje przyjemności: strumyki, gaiki, chatki, zefiry! . . . Ja pani, służę w Petersburgu bardzo

szczęśliwie. Prawda, że nie mam znaczącej rangi, nie większą nad kolleskiego Assessora, nawet cokolwiek mniej; ale za to zna mnie cała kancelarya, i naczelnik mojego wydziału, żyje ze mną w najściślejszej i najpoufalszej przyjaźni. Często klepiąc po mojem ramieniu rzeknie: „przychodź bracie do mnie na obiad.“ — Za to muszę wyznać, mam wiele pracy. Państwo może sądzicie, że ja należę do rzędu tych kancelistów, którzy tylko przepisują sprawy z jednego arkusza na drugi, — o nie, i bardzo nie! ja tylko przyszedłszy do biura, mówię: to trzeba tak, to trzeba siak, to znowu tak — a natychmiast kopista piórem tr... tr... i wszystko skończono. Nawet i krzesło stoi dla mnie osobne jakby dla naczelnika stołu, proszę mi wierzyć. Stróż nawet, spotykając mnie ze szczotką jeszcze na wschodach: pozwól pan, mówi, ja mu buty oczyszczę! (*do Horodniczego*) Czemu panowie stoicie? siadajcie proszę.

Horodniczy.

Można nieco postać.

Ziemenika.

Postoimy.

Chłopow.

Niech się pan nie trudzi.

Razem.

Chlestakow.

Proszę siedzieć. (*Horodniczy i inni siadają*). Otóż tak, to dobrze. — Nikt z urzędników modniej się nie ubiera, nademnie. Jeżeli sprawiam garnitur, to ręczę, że przynajmniej trzysta rubli kosztuje. Gdy wyjadę na ulicę, wszyscy wskazują na mnie: „to on, to Chlestaków“ a raz jednego gdym szedł piechotą, wzięli mnie za tureckiego posła. I co najdziwniejsza, że żołnierze nawet, wyskoczywszy z haubtwachu, sprezentowali broń przedemną. Później dopiero oficer, który mi był dobrze znajomy, powiedział: No, bracie, myśmy cię wzięli za tureckiego posła.

Anna.

No, proszę!

Chlestakow.

Już to, mnie wszędzie znają. Bywam na wszystkich zabawach i teatrach; jestem znajomy z pięknymi aktorami. Zajmuję się także i literaturą. Piszę dla teatru różne wodewile i dość szczęśliwie mi się udają. Z autorkami często się widuję, a nawet niektórzy z nich bywają u mnie na obiadach. Mieszkam przepyszenie: trzy pokoje cudnie umeblowane, okna wychodzą na ulicę — 800 rubli za nie płacę.

Anna.

Więc pan i dzieła wydajesz? Jakto jest przyjemnie być autorem. Pan zapewne i w dziennikach umieszczasz swoje prace.

Chlestakow.

Tak jest, umieszczam nawet i w dziennikach. Wiele jest dzieł teatralnych mojego własnego układu: naprzykład Wesele Figara, Ugolino, Fenela, Robert i Djabeł i t. p. a wszystkie z prawdziwego wydarzenia — mówiąc szczerze, niechciało mi się tem zajmować, ale dyrektorowie teatrów prosili: „bądź łaskaw braciszku, napisz co nowego!“ ... — Myślę sobie; bądź łaskaw, braciszku!... natychmiast więc siadam, biorę pióro w rękę i przez jeden wieczór już wszystko gotowe. Umieszczam także moje prace w moskiewskim telegrafie i w bibliotece do czytania. Wszystkie te artykuły co tam wychodziły pod imieniem Brambeusa, są moje własne.

Anna.

No proszę cię, to pan jesteś owym Brambeusem?

Chlestakow.

Tak, ja. Smirydyn płaci mi 25.000 rocznie. A jeśli mam prawdę powiedzieć, to wszystkie dzienniki bez wyjątku, są przezemnie wydawane.

Anna.

To zapewne i Jerzy Miłosławski jest pańskiego pióra?

Chlestakow.

Tak, to także ja napisałem.

Anna.

Zarazem się tego domyślała.

Marya.

Ah mamó, tam przecież pisze wyraźnie, że autorem tego dzieła jest p. Zagorskin.

Anna.

I znowu; wiedziałam o tem, że będziesz się sprzeczać.

Chlestakow.

Tak, tak, w samej rzeczy, dzieło to przez Zagorskina napisane ale drugi Jerzy Miłosławski, jest mojej roboty.

Anna.

To niezawodnie ja pańskie dzieło czytałam. Ach jakże pięknie napisane!

Chlestakow.

Ba! mnie przecież Smirdyn daje co rok 40.000. Z tego zrobiłem już znaczną sytuację, mam dwa domy w Petersburgu, które gdybyście panie widziały, wzięłybyście je niezawodnie za pałace. Kazałem architektowi, ażeby dał najpiękniejszą powierzchowność. Wszędzie kolumny, fontanny, kaskady.... Najmując podobne mieszkanie, musiałbym za nie zapłacić najmniej 20.000 rocznie. Często sam wydaję wieczory i bale

Anna.

Wyobrażam sobie, z jakim to gustem i wspaniałością, muszą się odbywać bale w stolicy?

Chlestakow.

O! bale tam są wytwerne! naprzykład, na deser podają pasz-tet tak gorący, że do ust wziąć go nie można, a wewnątrz chłodna galareta i najzimniejsze lody. Ja zawsze bywam na balach, złożyliśmy nawet osobnego wista. Mój minister, posłowie: francuski, angielski, niemiecki i ja. Jeżeli czasem zabawię się gdziekolwiek,

to już moi posłowie mówią: „gdzież to nasz Chlestaków!“ a gdy grę rozpocznę, to i końca jej nie ma Zawsze tak się sfatyguję, że przybywszy do domu po wschodach aż na czwarte piętro, zrzucam płaszcz co żywo, oddaję go kucharce, mówiąc: na Krystyno, i kładnę się spać; a pot tak się leje jak z beczki! — Nazajutrz nie mając najmniejszej chęci pójść do bióra, mówię do mojego Józefa, nie pójdę. Wreszcie tak się tylko mówi, bo moja czynność najwięcej w domu się odbywa — wszyscy urzędnicy do mnie przychodzą. Nawet ciekawą jest rzeczą widzieć, kiedy się czasem przebudzę i słyszę, jak w przedpokoju hrabiowie i księżęta, szepecząc mówią do siebie: sz.... sz.... sz.... Nie ma co robić, trzeba wyjść do nich; bo bywa zdarzenie, nie mówię zawsze, ale czasem, że zajedzie do mnie sam minister z jakim ważnym interesem — (*Horodniczy i inni wstają bojaźliwie ze swoich krzesel.*) Na pakietach do mnie adresowanych piszą: Jaśnie wielmożnemu. A razu jednego zawiadywałem całym departamentem, proszę mi wierzyć: był to dziwaczny wypadek: dyrektor dla słabości zdrowia wyjechał do swego majątku, wszyscy myśleli nad tem: komuby można powierzyć tak ważne zastępstwo? kto do tego zdolniejszy i sposobniejszy?.... wielu generałów ubiegało się o to, ale każdy z nich przyszedł, zająztał i poszedł. Na pozór zdaje się to łatwo, ale jak się rozpatrzysz, djabła tam! trudno, i bardzo trudno — nareszcie widząc, że nie ma komu się zająć; nasz Chlestaków mówią, on tylko jeden może to wykonać. I natychmiast rozesłano po mnie z pietnastu kuryerów. „Aleksandrze Iwanowiczu zmiłuj się weź w zarząd departament.“ Mnie mówiąc prawdę, nie bardzo to było po duszy: chciałem odmówić; ale myślę sobie, dojdzie to do cesarza, może mnie za to wielką nieprzyjemność spotkać; nie chciałem przytem zepsuć mojego służbowego opisu. Dobrze panowie, mówię, ja przyjmuję ten obowiązek, tylko że u mnie wszystko powinno iść jak z płatka, czuj duch! ani mru, mru! — I w istocie, bywało, jak tylko przechodzę, to moi panowie urzędnicy, wszystko ot tak, drżą jak we febrze. — (*Horodniczy i inni trzęsą się od strachu.*) Ja i w najwyższej Radzie prezyduję. A na cesarskie pokoje, jeśli w nich jaki bal się wydarzy, jestem zawsze zapraszany. Mnie nawet chciano zrobić vice kancle-rzem, (*ziewa na całe gardło*) o czem to ja mówiłem?

Horodniczy (*zbliża się do niego drząc całym korpusem i siląc się wymówić.*)

Ja.... ja ... ja ... jaś....

Chlestakow.

Cóż takiego? co pan chcesz mówić?

Horodniczy.

Ja... ja... ja... jaś....

Chlestakow.

Nie nie rozumiem.

Horodniczy.

Ja.. ja.... ja.. śnię wielmożny.... panie! czy nie raczysz pan może, cokolwiek odpocząć... oto jego pokój i wszystko co potrzeba.

Chlestakow.

Odpocząć? i owszem, i owszem, jestem gotów. (*wstaje*) Żegnam panie!.... W istocie spać mi się chce ogromnie. -- Sniadanie było przewyborne, (*wchodzi do boczego pokoju — za nim Horodniczy.*)

SCENA VII.

CIŻ oprócz CHLESTAKOWA I HORODNICZEGO.

Bobczyński. (*do Dobczyńskiego.*)

A co, panie Pietrze..... to.... ważny człowiek. Nie rozmawiałem nigdy z tak znaczną figurą, ze strachu omal nie umarłem. Jak myślisz panie Pietrze, kto on taki?

Dobczyński.

Mnie się zdaje, czy tylko nie generał.

Bobczyński.

A ja sędzę, że generał nie wart jego podeszwy! a jeśli on jest generałem, to zapewne sam generalissimus. Nawet bywa na

cesarskich pokojach! pójdź, panie Pietrze, opowiemy to Liapkinowi i Korobkinie. Oni jeszcze nie o tem nie wiedzą. Żegnam panią Horodniczynę.

Dobczyński.

Bywaj zdrowa, kumeczko!

Ziemenika.

Taki wielki człowiek, a my jeszcze nie w mundurach! — W tak młodym wieku i tak ważną czynność odbywa. Ach mój Boże, żeby tylko czego nieoberwać. — Kłaniam! (*odchodzi za nim Chłopow*)

SCENA VIII.

ANNA i MARYA.

Anna.

Co za przyjemny mężczyzna!

Marya.

Ach! milutki!

Anna.

A jakie delikatne obejście! zaraz poznać można, że był w stolicy. Co za maniera, jakie ruchy pociągające, ah! aż miło!... Namiętnie lubię młodych mężczyzn, do zapamiętałości!... Jednakże musiałam mu się podobać, bo często na mnie spoglądał.

Marya.

Ah! mamó! to na mnie.

Anna.

Proszę zaniechać swoich głupstw i sporów! tu one wcale nie w miejscu.

Marya.

Nie, mamó, doprawdy na mnie spojierał.

Anna.

Jeszcze!... a ja mówię, że nie i dosyć. Czego on miał patrzeć na ciebie? i kiedy?

Marya.

Jak mamę kocham! ciągle na mnie patrzył. — Kiedy zaczął mówić o literaturze, to rzucił na mnie okiem; kiedy opowiadał o wście z posłami, także na mnie spojrzył.

Anna.

No, być może, może raz jeden tylko... i to dla tego jedynie, żeś obok mnie siedziała.

SCENA IX.

TEŻ I HORODNICZY.

Horodniczy (*wchodząc na palcach.*)

Pst!... sza..

Anna.

Cóż?

Horodniczy.

Położył się spać. Sprawujcież się spokojnie, żeby go nie przebudzić. Tak jestem odurzony! strach omal mi kości nie wytrząsał — tak ważnego urzędnika, nigdy jeszcze nie widział. (*w zamyśleniu*) Z ministrami grywa w karty i bywa w cesarskich pokojach... Tak, o być może... Im więcej się nad tem zastanawiam tem bardziej się przekonuję... Z resztą djabli go wiedzą, nie mogę pojąć co się dzieje w mojej głowie. Zdało mi się jakbym stał na jakiejś wielkiej dzwownicy, gdzie chcieli mnie powiesić.

Anna.

Ja zaś żadnej bojaźni nie uczułam; widziałam w nim tylko edukowanego, światowego i dobrego tonu młodzieńca — a o jego randze niema potrzeby wiedzieć.

Horodniczy

No, już to wy kobiety, zawsze tylko: tra la, la. — Ty moja duszko, tak się z nim obeszłaś, jakby z jakim Dobeżyńskim.

Anna.

Już co w tem, to ci radzę być spokojnym. Wiemy dobrze, jak nam należy obchodzić się z mężczyznami, *(spoglądają na córkę)*.

Horodniczy.

E, co z wami gadać!... Jednakże to rzecz szczególna! do-
tąd ze strachu przyjść do siebie nie mogę. — *(otwiera drzwi
środkowe i mówi przez nie)* Michałek, zawołaj Kwartalnych Swi-
stunowa i Dzierżymordę — oni tu gdzieś nie daleko za bramą
być muszą *(po małej pauzie mówi)*. Dziwaczny porządek teraz na
świecie: ludzie tak delikatni, przemądry i przedojrzali; że trudno
jest człowieka, rozróżnić od człowieka. — Jednakże, jak on się
starannie ukrywał, a w końcu nie mógł dotrzymać, wyszedł z cha-
rakteru i wszystko wyznał. Znać, że młokos!

SCENA X.

CIŻ i JÓZEF *(z gabinetu)*.

(Wszyscy biegną na jego spotkanie i kiwają palcami).

Anna *(do Józefa)*.

Zbliż się, mój kochanku.

Horodniczy.

Pst... sza! — a cóż, spi?

Józef.

Nie jeszcze, cokolwiek się przeciąga.

Anna.

Słuchajno . . . jak ci imię?

Józef.

Józef, pani.

Horodniczy (*do kobiet*).

Przeście! (*do Józefa*) No, i cóż mój przyjacielu, czy dobrze podjadłeś?

Józef.

Dobrze — najpokorniej dziękuję, dobrze podjadłem.

Anna.

Powiedz mi mój Józefie: ja myślę, że do twego pana wiele zajędza Grafów i Książąt?

Józef (*na stronie*).

A co tu gadać? . . . kiedy teraz dali dobry objad, to później dadzą jeszcze lepszy. (*głośno*) O! tak, bywają i Grafowie.

Marya.

Ach mój Józefeczku, jaki twój pan przystojny.

Anna.

Powiedzże mi jeszcze mój kochany Józefie, jak twój pan . . .

Horodniczy.

Ale przeście już proszę! wy swojemi głupiemi pytaniami, tylko mi przeszkadzacie. No i cóż, mój przyjacielu? . . .

Anna.

Jakiej jest rangi twój pan?

Józef.

Ranga wiadomo jaka.

Horodniczy.

Ach, mój Boże! dosyć już, dosyć! nie dacie mi słowa powiedzieć. No cóż przyjacielu, jakże twój pan?... czy jest bardzo srogi? lubi krzyczeć, łajać?...

Józef.

Tak, lubi porządek. Chce żeby wszystko było wypełnione jak należy.

Horodniczy.

Twoja fizyonomia, bardzo mię zajmuje! ty przyjacielu, musisz być poczciwy człowiek. — No cóż dalej?...

Anna.

Śluchajno Józefie, czy twój pan chodzi w mundurze?

Horodniczy.

Dosyć, mówię! — prawdziwa grzechotka. Tu są rzeczy ważniejsze. Idzie tu o życie człowieka... teraz rozumiecie?... (*do Józefa*) Tak, przyjacielu, ty mi się podobasz. Nie zaszkodzi w drodze wypić herbatki jedną szklankę więcej jak zwykle; teraz cokolwiek za zimno. Otóż masz tu parę rubelków na herbatę.

Józef (*przyjmując pieniądze*).

Ach, najpokorniej dziękuję. Daj Boże pannu zdrowie za to żeś wspomógł biednego i podróżnego człowieka.

Horodniczy.

Dobrze, dobrze. — A cóż przyjacielu?...

Anna.

A jakie oczy mianowicie, podobają się twojemu panu?

Marya.

Ach Józefie! jaki zgrabny nosek u twojego pana!

Horodniczy.

Zaczekajcie — pozwólcieź mnie... (*do Józefa*) Powiedz, zmiłuj się: na co bardziej twój pan obraca swoją uwagę? to jest: co jemu w drodze najwięcej się podoba?

Józef.

Najlepiej lubi, żeby go dobrze przyjmowano, i do sytości ugaszczano.

Horodniczy.

Do sytości?

Józef.

Do sytości. — Nawet mnie, swojego poddanego, patrzy, żeby wszystko regularnie doszło. Dalibóg! bywało zajedziemy gdziekolwiek, tak zaraz się pyta: „Cóż Józefie, czy dobrze cię ugoszczono?“ Nie bardzo JW. Panie! — E, powiada mój Józefie; widać że zły gospodarz, kiedy o ludziach nie pamięta. Przypomnij mi o tem, wolnym czasem... A, myślę sobie, (*machnął ręką*) Bóg z nim! ja człowiek prosty!

Horodniczy.

Dobrze, dobrze, że tak mówisz. — Dałem ci na herbatę, tu masz na obwarzanki.

Józef.

Za cóż mnie tak obdarzać. Wielmożny Panie? (*chowa pieniądze*) Chyba już wypiję za pańskie zdrowie.

Anna.

Przyjdź Józefku, do mnie! także coś dostaniesz.

Marya.

Józefeczku, drogi! pocałuj twój pan. (*Słychać w pokoju Chlestakowa nie zbyt głośny kaszel*).

Horodniczy.

Pst... sza!... (*podejmuje się na palcach. Cała ta scena mówi się półgłosem*). Broń Boże, mi zrobicie jakikolwiek szmer... No, idźcie sobie! dosyć już, dosyć!

Anna.

Pójdź Maryo! jeszcze coś ci powiem o naszym gościu! (*odchodzi z Maryą*).

Horodniczy.

No, już tam jej nagada! a tylko idź posłuchaj, to i uszy zatkniesz. (*odwracając się do Józefa*) No, przyjacielu...

SCENA XI.

CIŻ. DIERŻYMORDA I SWISTUNOW.

Horodniczy (*do Kwartalnych*).

Pst... sza! E! co za koszlawe niedźwiedzie! stukają butami, jakby kto ze czterdzieści pudów z wozu zrzucił! — Gdzie was djabli noszą?

Dzierżymorda.

Chodziłem po służbie!... (*czkawka go porywa*).

Horodniczy.

Sza!... (*zakrywa mu usta*) Kraknął jak wrona! (*przedrzeźniając go*) „Chodziłem po służbie“ A z gęby bucha jak z beczki. (*do Józefa*) No, mój przyjacielu, idź i przygotuj tam co potrzeba dla twojego pana. Żądaj wszystkiego co jest w domu i czego nie ma. (*Józef odchodzi*) Wy zaś stać mi na wschodach i ani kroku z miejsca! — A nikogo z obcych do domu nie wpuszczać, zwłaszcza kupeców! jeżeli tu choć jeden z nich wejdzie, to... Jak

tylko ujrzycie, że ktokolwiek idzie z prośbą, a choć i nie z prośbą, ale podobny będzie do takiego, co chce na mnie podać prośbę, to prosto w kark, za drzwi! i tak... go... ładnie!.. (pokazuje nogą) Rozumiecie?... Pst... sza!... cicho!... (odchodzi na palcach wnet za Kwartalnymi).

KONIEC AKTU III.

AKT IV.

(Pokój ten sam. Świeca na stole.)

SCENA I.

LIAPKIN — ZIEMLENIKA — SZPEKIN — CHŁOPOW —
DOBCZYŃSKI I BOBCZYŃSKI *(wchodzą na palcach z ostrożno-*
ścią w pełnej formie, w mundurach. — Cała ta scena odbywa się
półgłosem).

Liapkin.

Prędej, prędej panowie, stawajcie w kółko — on zapewne
nie zadługo wyjdzie. Otóż ta tak. *(Wszyscy szykują się w półkole).*
Ty panie Pietrze przejdź na tę stronę, a ty panie Pietrze stań
tutaj. *(Oba Piotrowie przechodzą na palcach)* Tak, dobrze — teraz
wszyscy, wyciągnąć się po wojennemu, bo widzicie, konieczność
wymaga tak mu się przedstawić. *(ogląda wszystkich i odchodzi na*
środek) A wiecie co, że patrząc z daleka, jest w nas coś wojsko-
wego. *(Słychać w pokoju Chlestałkowa, odkrząkiewania i plucie.*
Urzednicy się trwożą).

Ziemenika.

Widać że się już przebudził.

Liapkin.

Strudzony.

Szpekin.

Nie ma co mówić, wczoraj dość się wygadał. Jak panowie sądzicie? mnie się zdaje, że z tego wszystkiego co on tu mówił, ledwie jest połowa prawdy.

Liapkin.

Gdzie zaś! podhulał nieco i skłamał trochę. Nie jest to żadnym błędem; to się zdarzy każdemu człowiekowi. Za to u niego każdy wyraz jakby odważony, wszystko szło z rozwagą. Przypuśćmy nawet że podhulał, ale dlaczego, i na co podhulał to zapewne nie bez celu.

Szpekin.

Dobrze, żeśmy dla niego ze śniadaniem wystąpili — Chleba i soli już skosztował, więc nam szkodzić nie zechce; nawet sam się już z tego wygadał, o czem z początku mówić nie chciał.

Ziemenika.

Jednak radziłbym panowie, nie zasypiać i nie trzymać rąk w kieszeni. A jeżeli on teraz przespawszy się, zacznie znowu po swojemu, cóż wtenczas będzie? Ja się obawiam. Nasz Horodniczy, o! to stary filut: on go już musiał sam na sam, czemkolwiek zaspokoić; tylko nie nam nie mówi.

Chłopow.

A co panowie myślicie — to wszystko być może.

Liapkin.

Wiecież co, a gdyby mu tak... *(pokazuje gestami)*.

Ziemenika.

Podsunać, co?

Liapkin

Tak.

Szpekin.

Djabelnie niebezpieczno.

Ziemenika.

A jakże to zrobić?

Liapkin.

Ot tak najlepiej; zrobić wprost składkę, w guście podarku, lub ofiary na rzecz jakiego towarzystwa; jego zaś prosić, ażeby przyjął na siebie obowiązek. . . Ale i to, niech djabli wezmą; niebezpieczno!

Szpekin.

Lepiej po prostu, oto tak: że niby przez pocztę zostały tu nadesłane pieniądze, nie wiadomo dla kogo; a ponieważ właściciela nie znaleziono: więc go się zapytać, czy czasem te pieniądze nie do niego należą.

Ziemenika.

To, to, to! da on panu za to: „nie wiadomo dla kogo nadesłane.“ Patrzaj, żeby cię tylko przez pocztę, nie odesłał gdzieś daleko.

Liapkin.

Najlepiej tak będzie: że niby w naszym mieście, umarł bogaty kupiec zostawiwszy testament, a po testamencie. . .

Ziemenika.

No i cóż po testamencie?

Liapkin.

Koma, czyli przecinek. Zacząłem był tak gładko, a końca ani weź znaleźć.

Ziemenika.

Płynął, płynął, a przy brzegu utonął. Nie, takie rzeczy nie w taki sposób działać się zwykły. Powiedcież mi panowie, po co tu przybyliśmy z całym naszym szwadronem? a to ty, panie Liapkin, wymyśliłeś: ażeby się po wojennemu prezentować. Moje zdanie, przedstawić się każdemu po osobno, tak na cztery oczy, i tego. . . co tam będzie potrzeba; żeby nawet uszy nie słyszały. Otóż to tak, w porządnym towarzystwie, zawsze się robi! . . . a gdy

już jeden wprzódki popróbuje, to później wszystkim nam będzie wiadomo, jak należy postąpić.

Szpekin.

Ma słusność!

Liapkin.

I owszem, spróbujmy. Tobie panie Ziemenika, ponieważ w twoim szpitalu, nasz dostojny Wizytator, już chleba zakosztował; tobie mówię, najwłaściwiej będzie naprzód się sprezentować.

Ziemenika.

Dla czegoż mnie? ja myślę czy nie będzie przyzwyczajony, ażeby pan Szpekin, jako pocztmajster.

Szpekin.

Na cóż ja? nie równie lepiej panu Liapkinowi, jako sędziemu pokoju.

Liapkin.

Liapkinowi, Liapkinowi! wszysey na Liapkina! czemuż nie panu Chłopowemu, jako kształcicielowi młodzieży?

Chłopow,

Nie, panowie, ja nie mogę. Jestem tak delikatnie wychowany, że gdy rozmawia ze mną osoba, choć jedną rangą wyższa ode mnie, to już moja dusza na ramieniu, a język jakby w pantoflach. Nie, panowie, uwolnijcie mnie od tego, na honor uwolnijcie.

Ziemenika.

W samej rzeczy, z której bądź strony uważając, nikomu nie jest tak zrzęcznie wiaść się za to, jak tobie panie Liapkin. U pana za każdym słowem, to Cynceron siedzi na języku.

Liapkin.

Co pan znowu zmyślił jakiegoś tam Cyncerona!... że czasem zawlokłszy się, gdzie rozprawiam o kłótniach domowych, albo o jakimś gońcem szczeziątku...

Wszyscy (*przystępując do niego*).

I o babilońskiej wieży!... nie, panie sędzio! nie opuszczaj nas, bądź naszym ojcem! nie, panie Liapkin!...

Liapkin.

Odczepcie się, panowie!

(*W tejże chwili słycać stapanie i kaszlanie w pokoju Chlestakowa. Wszyscy razem spieszą na wyjściu do drzwi środkowych chcąc wyjść i przyciskają jeden drugiego*).

Bobczyński (*krzycząc pół głosem*).

Oj! panie Pietrze, panie Pietrze! nastąpiłeś mi na nogę

Ziemenika (*także*).

Odstąpcie panowie, pozwólcieź choć duszy wyjść z grzesznego ciała: na miazgę mię ścisnęli!

(*Wszyscy wydają przerywane okrzyki Aj, aj! w końcu wypierają się przez drzwi środkowe*).

SCENA II.

Chlestakow (*sam*)

(*Wychodzi ze swego pokoju z zaspanemi oczami*).

Zdaje się, że chrapałem trochę. Skąd oni nabrali tyle materaców i pierzyn?... Roszkosznie spałem, ażem się spocił. Musiano jednakże na wczorajszym śniadaniu, podsunąć mi coś bardzo mocnego sznapsa, lub coś podobnego, bo dotychczas w głowie mam jakieś stukanie. — No jak uważam, to z przyjemnością ezas tu pędzić można. Bardzo to lubię! to po mojemu! Na tym punkcie jestem dziwakiem — nie wiem jak drugim, ale mnie takie życie, niezmiernie się podoba. Nie potrzebuję nic więcej, jak żeby na mnie zwracano uwagę, starano się ugościć; i żeby to wszystko

czyniono ze szczerością, otwartością, jak mówią od serca, nie zaś z jakiegokolwiek interesu. — Ale córeczka Horodniczego wcale nie szpetna; no i mamunia także, możnaby jeszcze... Niewiem dla czego, ale szczerze mówię, że podobne życie bardzo mi się podoba.

SCENA III.

CHLESTAKOW I LIAPKIN.

Liapkin (*wchodzi zatrzymuje się i mówi do siebie*).

Boże! wspieraj mnie! dozwól mi wyjść stąd w całości! — Kołana moje nieustannie dygocą. (*Przystępuje i mówi głośno, a wyciągnąwszy się przytrzymuje ręką szpadę*) Mam honor przedstawić się: sędzia tutejszego powiatowego sądu, kolleski Asesor, Liapkin — Tiapkin.

Chlestakow.

Proszę siedzieć. To pan jesteś sędzią.

Liapkin.

Z ośmiuset afirmatiw zostałem wybrany na trzecie trijenium z woli Dworzaństwa; i dotychczas spełniam ten obowiązek z całą gorliwością.

Chlestakow.

A czy korzystna to służba?

Liapkin.

Za dziewięć lat, przedstawiony zostałem do krzyża św. Włodzimierza 4 klasy, z potwierdzenia samejże zwierzchności.

Chlestakow.

Ja bardzo lubię krzyż Włodzimierza. Anny 3 klasy nie tyle mi się podoba. Za nadto już, jakto powiedzieć, pospolity: każdy go nosi, nawet naczelnicy stołu,

Liapkin (n. s.)

No, sposób już wymyśliłem — ale Bóg wie, czy mi się uda! Serce moje kołacze! ułożyłem sobie: rzucić nieznacznie na ziemię, niby to niechcący; a potem się schylić dla podjęcia. Ale diabli wiedzą, jak tego dokazać. Aj!... (*gubi paczkę Assygnat na ziemię*) już upadły... Boże! ratuj mnie!... (*schyla się podjąć pieniądze*).

Chlestakow.

A co tam?... (*przysuwa cokolwiek krzesło*).

Liapkin (n. s. *ledwie żywy*).

O Boże! jużem zgubiony! już jestem pod sądem! i wóz już po mnie zajechał!

Chlestakow.

Co to pan zgubiłeś?

Liapkin.

Jakieś tu assygnacye upadły; rozumiałem, czy nie z pańskiego stołu. (n. s.) No, teraz już zginę niezawodnie.

Chlestakow.

Pozwól pan, ja zobaczę — być może, że one są moje. Ja przez rozrzutność, często gubiłem pieniądze. A zwłószczykowi, to nie raz przez omyłkę, zamiast pięćdziesiątki, złotego pół imperyała dałem.

Liapkin.

Ja sądzę, że to są pańskie Assygnaty.. (n. s.) No, śmiało śmiało!

Chlestakow.

Zdaje się, więcej trzystu rubli. Nie wiem prawdziwie... zresztą może to być; nigdy nie liczę moich pieniędzy. A jeżeli ich czasem zabraknie, to wszystko jedno — pożycz mi pan te pieniądze, a ja mu one później z wdzięcznością odeślę.

Liapkin.

Zmiłuj się pan! takim przyjęciem można człowieka uszczęśliwić.

Chlestakow.

Najdalej za dwa tygodnie, odeszłę panu z majątku, co do grosza.

Liapkin (*wstaje chcąc odejść*).

Na co to? ja poczekam. Niech się pan nie trudzi. Jeżelibym jeszcze mógł się w czem przysłużyć.. to proszę tylko rozkazać.

Chlestakow.

Dobrze, dobrze, pan już wychodzi?

Liapkin.

Nie ośmielę się, zabierać panu czasu przeznaczonego na tak ważne zajęcie.

Chlestakow.

Żegnam pana! wszak się jeszcze zobaczymy?

Liapkin.

Gotów jestem stawić się, za pierwszym rozkazem. (*n. s. odchodząc*) Chwałaż Bogu! nasza wygrana!

Chlestakow (*po jego odejściu*).

Dobry człowiek z tego pana sędziego.

SCENA IV.

CHLESTAKOW — SZPEKIN.

Szpekin (*wchodzi wyciągnięty przytrzymując szpadę*)

Mam honor przedstawić się: Pocztm. ster, nadworny sowie-
tnik Szpekin.

Chlestakow.

A, najuniżeniej dziękuję, za łaskawe, mnie odwiedzenie. Ja bardzo lubię przyjacielskie towarzystwa. Proszę siedzieć! — Czy pan ciągle tu mieszkasz?

Szpekin.

Tak jest.

Chlestakow.

Podoba mi się tutejsze miasteczko. Prawda, że nie bardzo ludne, ale nie to! przecież to nie stolica. Nie prawdaż, że to nie stolica?

Szpekin.

Istotna prawda.

Chlestakow.

To tylko w stolicy można żyć bon ton — i nie widać tam tych gęsi prowincjonalnych. Jak się panu zdaje, nie prawdaż?

Szpekin.

Tak w istocie! (n. s.) A! on, jak uważam, nie jest dumny; o wszystkim się rozpytuje.

Chlestakow.

Jednakże i w małym miasteczku żyć szczęśliwie można?

Szpekin.

Tak w samej rzeczy!

Chlestakow.

Według mego zdania, trzeba tylko do tego szczerzej otwartości, dobranego towarzystwa, żeby się szanowało, serdecznie kochało — nie prawdaż?

Szpekin.

Bardzo sprawiedliwie.

Chlestakow.

Kontent jestem ¹⁸⁷ tego, że pan jednego ze mną zdania. Ja to lubię, to mój charakter. ^{21. B.} (zagląda mu w oczy i mówi do siebie) E,

poproszę tego pocztmajstra, ażeby mi także pożyczył! (*głośno*) Czy wiesz pan, jaki fatalny wypadek zdarzył mi się w tej podróży? wykspensowałem wszystko i jestem bez grosza. Nie mógłbyś pan, pożyczyć mi cokolwiek?

Szpekin.

Wiele pan rozkaże?

Chlestakow.

Tak z jakich dwieście rubelków; a ja panu jutro z majątku odeszłę.

Szpekin.

Natychmiast. (*szuka w kieszeni i wyjmuje assymaty*).

Chlestakow.

Bardzo dziękuję — trzeba panu wiedzieć, że ja w drodze nie sobie nie żałuję — bo dla czegoż mam sobie żałować. Nie prawdaż?

Szpekin.

Istotna prawda. (*wstaje z uszanowaniem*) Nie ośmielę się dłużej niepokoić pana moją przytomnością... muszę się dowiedzieć, czy czasem nie zaszło co nowego na poczcie.

Chlestakow.

Dobrze — żegnam pana, żegnam! (*po odejściu pocztmajstra zapala cygaro*) No, pocztmajster także dobry człowiek. Grzeczny, usłużny. Przyznam się, że nadzwyczaj lubię takich ludzi, z którymi można jasno się tłumaczyć.

SCENA V.

CHLESTAKOW I CHŁOPOW.

(Który się zaledwie we drzwiach daje widzieć — za drzwiami słychać głos przytłumiony. „Czego się lękasz.”)

Chłopow (wyciągając się nie bez strachu i przytrzymując szpadę).

Mam honor przedstawić się: Inspektor szkoły tytularnej So-wietnik Chłopow.

Chlestakow.

A! zmiłuj się pan! siadaj, siadaj, bardzo proszę. Czy nie chcesz pan cygaro? (podaje mu cygaro).

Chłopow (n. s.)

Otóż masz! tegom się nigdy nie spodziewał. Brać, czy nie brać.

Chlestakow.

Bierz pan, bierz — to przewyborne cygaro. Wprawdzie nie takie jak w Petersburgu. Tam, panie paliłem po 25 rubli secina — takie smaczne, że aż się obliźniesz jak wykurzysz. Oto jest ogień, pal pan (podaje mu świecę).

Chłopow (probuje zapalić i znowu się droży).

Chlestakow.

Nie z tego końca pan palisz

Chłopow (ze strachu upuścił cygaro i machając ręką mówi n. s.)

Niech djabli porwą! zgubiło mię to przekłete tehórzostwo!

Chlestakow.

Pan, jak widzę nie lubisz cygara. A ja przeciwnie, nie mogę żyć bez tego, to moja słabość. Także i na conto kobiet, w żaden

sposób nie mogą być obojętnym. A pan jakie lepiej lubisz: blondynki czy brunetki?

Chłopow (*znajduje się w bardzo wielkim kłopotcie i nie wie co odpowiedzieć*).

Chlestakow.

Nie, powiedz pan otwarcie: blondynki czy brunetki?

Chłopow.

Nie mogę wiedzieć...

Chlestakow.

Nie, nie wymawiaj się pan. Ja chcę koniecznie poznać jego gust.

Chłopow.

Ośmielał się więc... (*n. s.*) Sam nie wiem co mówić, w głowie mi się przewróciło.

Chlestakow.

Aha, nie chcesz pan powiedzieć. Zapewne już jaka brunetka, serduszek mu zajęła. Przyznaj się pan, zajęła?

Chłopow (*milczy*).

Chlestakow.

O, o! zaczerwienił się! a widzisz! dla czegoż pan nie powiesz?

Chłopow.

Stehórzyłem, Wielmo... Jaśnie Wiel... Jaśnie Oświe... (*n. s.*) Straciłem język!

Chlestakow.

Stehórzyłeś?... o! w moich oczach jest coś takiego co strach wzbudza, tak coś magnetycznego, nie prawdaż? Rzadko która dziewczyna wytrzyma, jeśli ja się na nią spojrzę — nie także?

Chłopow.

Tak, w istocie.

Chlestakow.

Czy słyszałeś pan o tem : że fatalny wypadek zdarzył mi się w tej podróży ; wyekspensowałem się do kopiejki. Nie mógłbyś pan pożyczyć mi cokolwiek?.. A ja panu jutro z majątku odeszłę.

Chłopow (*chwytając się za kieszeń, mówi do siebie*).

Oto będzie sztuka, jeżeli nie ma! — Jest, jest!.. (*wyjmuje i drżąc podaje asygnacye*).

Chlestakow.

Ślicznie dziękuję!

Chłopow.

Nie osmielę się dłużej utrudzać pana moją wizytą.

Chlestakow.

Upadam do nóżek!

(*Chłopow prędko wybiega*).

SCENA VI.

CHLESTAKOW — ZIEMLENIKA.

Ziemenika (*wyciągnięty podtrzymując szpadę*).

Mam honor przedstawić się : Kurator tutejszych szpitalów, nadworny Sowietnik Ziemenika,

Chlestakow.

Witam pana — proszę siedzieć.

Ziemenika.

Miałem ten honor i zaszczyt oprowadzić pana i przyjąć jego dostojną osobę, w powierzonych mejemu dozorowi szpitalach.

Chlestakow.

A... tak, pamiętam. Pan bardzo dobrze ugościłeś mię swoim śniadaniem.

Ziemenika.

Chętnie poświęcam moje usługi, dla dobra kraju.

Chlestakow.

Lubię dobrą kuchnię, to jest moja słabość. Powiedz mi pan proszę, zdaje mi się, że wczoraj jego figura była nieco niższą, nie prawdaż?

Ziemenika.

To wszystko być może. (*milczenie*) Mogę śmiało wyznać, że nie oszczędzam i gorliwie spełniam moją służbę. (*przysuwa się bliżej ze stolkiem i mówi półgłosem*) Ale tutejszy pocztmejster, zupełnie nic nie robi: wszystkie akta są w wielkiem zaniedbaniu, pakiety się zatrzymują... racz pan sam się o tem przekonać. Sędzia powiatowy, który tu był przed mojem przyjściem, także nie robi, jeździ tylko na polowanie za zającami, i w sali sądowej psów utrzymuje. — Muszę jeszcze wyznać, a to jedynie dla dobra kraju, że chociaż on jest moim krewnym i przyjacielem, ale najgorzej się prowadzi. Jest tu jeden obywatel Dobczyński, którego pan raczyłeś już widzieć; otóż, jak tylko ten Dobczyński wyjdzie gdziekolwiek z domu, to nasz pan sędzia, szmyk! i już jest przy jego żonie. Na to przysiądz jestem gotów. Racz pan tylko zobaczyć dzieci: ani jedno z nich do Dobczyńskiego nie podobne; ale wszystkie, a szczególnie małeńka córeczka, to wykapały sędzia.

Chlestakow.

No proszę pana! a jam się tego nigdy nie spodziewał.

Ziemenika.

A inspektor tutejszej szkoły... Ja nie wiem, jak mogła

zwierzchność powierzyć mu tak ważny obowiązek. — On jest gorszym od Jakobina; wpaja w młodzież tak niebezpieczne zasady, że trudno wyrazić. Jeżeli Pan każe, to ja to wszystko podam na piśmie.

Chlestakow.

Dobrze! chociażby na piśmie. — To mi sprawi wielką przyjemność. Lubię bardzo, w chwili smutnej, przeczytać co wesołego. Jakaż pańska godność? Ciągle zapominam.

Ziemenika.

Ziemenika.

Chlestakow.

A, tak, Ziemenika! Powiedźże mi pan, czy uasz dzieci?

Ziemenika.

Jakże, pięcioro; dwoje już dorosłych.

Chlestakow.

Proszę, to szczęście! — A jakież są ich imiona?

Ziemenika.

Mikołaj, Jan, Eizbieta, Aleksandra i Józefua.

Chlestakow.

To dobrze.

Ziemenika.

Nie osmielę się utrudzać pana dłużej; mam więc honor...

Chlestakow (*odprowadzając go*)

Żegnam. Najśliczniej panu dziękuję, za jego przyjacielską wizytę. Zmiłuj się pan, odwiedzaj mnie częściej... tak wolniejszym czasem; bardzo proszę! (*odszedł ode drzwi, i znowu się wraca*)

krzycząc za nim) Ej! panie, panie! jakże tam? wszystko zapomniał, jak się pan nazywa?

Ziemenika.

Ziemenika.

Chlestakow.

Zmiłuj się panie Ziemenika, zobacz, czy nie masz przy sobie z jakich 300 rubelków; pożycz mi je na czas jak można najkrótszy... w drodze wszystko wyekspensowałem.

Ziemenika.

Mam *(daje mu)*.

Chlestakow *(obejrzawszy)*

No proszę, jakby obliczona. Upadam do nóg! sługa uniżony!
Bardzo panu dziękuję.

SCENA VII.

CHLESTAKOW, BOBCZYŃSKI I DOBCZYŃSKI.

Dobczyński.

Mam honor przedstawić się: Mieszkaniec tutejszego miasta Piotr, syn Jana, Dobczyński.

Bobczyński.

Obywatel: Piotr, syn Jana, Bobczyński.

Chlestakow.

A, tak, ja panów już widziałem, *(do Dobczyńskiego)* Pan, zdaje się wtenczas upadłeś. Cóż, jakże się ma jego nos?

Bobczyński.

Bogu dzięki! zagoił się, zupełnie się zagoił.

Chlestakow.

To dobrze, że się zgoił. Cieszę się z tego... *(odrywając mowę)*
Pieniądzy nie ma u pana?

Bobczyński.

Pieniądzy? jakto?

Chlestakow *(mocno i żywo)*.

Na pożyczkę; tak z tysiąc rubelków nie więcej.

Bobczyński.

Tak wielkiej sumy, dalibóg, nie mam. Może jest u ciebie panie Pietrze?

Dobczyński.

Ja przy sobie nie noszę, dla tego, że moje pieniądze złożone są w przykazie.

Chlestakow.

No, kiedy nie ma tysiąca, to choć sto.

Dobczyński *(szuka po wszystkich kieszeniach)*.

U mnie wszystko 40 assygnacyjnych. Czy nie ma u pana Piotra?

Bobczyński.

Poszukaj tylko dobrze panie Pietrze. Prawa twoja kieszeń jest rozprutą: czy nie zapadły gdzie przez dziurę,

Dobczyński.

Nie, nie ma nawet i w dziurze, oprócz drobiazgu, trzech grzywienek srebrem.

Chlestakow.

To dla mnie wszystko jedno : kiedy nie ma sta, wezmę choć 40. I to na trzy dni tylko, a potem panom zwrócę. (*Przyjmuje pieniądze*).

Dobczyński.

Ośmielam się zanieść moją małą prośbę, w jednej bardzo delikatnej sprawie.

Chlestakow.

Cóż to, co ?

Dobczyński.

Oto rzecz tak się ma : starszy mój syn urodzony jeszcze przed ślubem...

Chlestakow.

A!...

Dobczyński.

To się tylko mówi, ale on jest moim własnym synem, i urodził się w taki sposób, jakby już było po ślubie ; bo wszystko to, jak należy umocniłem później prawym związkiem małżeńskim. Otóż chciałbym, ażeby on już został moim prawym synem, i nazywał się tak ja! ja, Dobczyńskim.

Chlestakow.

Dobrze, niechaj się tak nazywa ; to można.

Dobczyński.

Jabym pana nieutrudzał ; ale szkoda chłopca, taki żwawy, roztropny malec i wielkich nadziei — deklamuje na pamięć różne wiersze a jeśli znajdzie gdzie nożyk, to natychmiast nim wystruga małeńkie drążeczki tak zgrabnie, jakby najlepszy mechanik. Pan Piotr może to zaświadczyć.

Dobczyński.

Tak, wielkich zdolności chłopak.

Chlestakow

Dobrze, dobrze, ja się o to postaram; będę o tem mówił w Petersburgu. i bądź pan pewnym że wszystko pójdzie dobrze; ja powiem to ministrowi... (*obraca się do Bobczyńskiego*) a pan nie masz mi nic do powiedzenia?

Bobczyński

A jakże, mam i ja najpokorniejszą prośbę.

Chlestakow.

W czem takim?

Bobczyński.

Oto prosiłbym, gdy już będziesz Pan w Petersburgu, ażebyś oznajmił wszystkim Magnatom, Senatorom i Admiralom, że w takim to mieście, mieszka Piotr Iwanowicz Bobczyński. Czy pan powiesz, że tu mieszka Piotr Iwanowicz Bobczyński?

Chlestakow.

Bardzo dobrze.

Bobczyński

A gdyby nawet przyszło panu spotkać się z samym cesarzem, to i jemu pan powiedz: Najjaśniejszy panie, w takim to mieście mieszka Piotr Iwanowicz Bobczyński.

Chlestakow.

Bardzo dobrze!

Bobczyński.

Racz pan przebaczyć, żeśmy się ośmielili utrudzać go naszymi prośbami.

Chlestakow.

Nie to, nie. Bardzo mi przyjemnie... (*odprowadza ich*).

SCENA VIII.

CHLESTAKOW (*sam*).

Tu jednakże jest wielu urzędników. Teraz zaczynam się domyślać; niezawodnie sądzą, że ja wiele znaczę w Petersburgu. Moja fizyonomia jak uważam, zrobiła na nich wielkie wrażenie... I w samej rzeczy, mogłem się im wydać niepospolitym człowiekiem, bo dla prowinyonałnych figur, ujrzeć przejeżdżającą osobę ze stolicy, z innym zupełnie wychowaniem i w modnej stołecznej odzieży; w tem jest coś czarującego. — Ale zobaczymy też, wiele mamy pieniędzy. (*liczy*) Sto, dwieście... ach, jakaż zatłuszczona!.. pięćset... siedemset!.. oho! więcej tysiąca!.. tysiąc sto, tysiąc dwieście... No, nie zły kusz. Teraz panie piechotny Kapitanie! wpadnij tylko w moje ręce, dam ci się we znaki!.. Jednakże to szlachetnie z ich strony, że mi pożyczyli tyle pieniędzy, nie ma co mówić, jest to czyn bardzo chwalebny! o tem warto napisać do mojego przyjaciela Trapiczkina, mieszkającego w Petersburgu; jest on autorem a razem i redaktorem różnych pism peryodycznych — niechaj więc między innymi i ich wyszydzi porządnie. Ej! Józef! daj tu atramentu, pióra i papieru. (*Józef wygląda ze drzwi bocznych i mówi. „Zaraz, zaraz“*) Muszę donieść mu o wszystkim. Oh, to satyryk! jakich mało na świecie... wyszydzić, wyśmiać, oczernić; to jest jego żywioł.. A co za dowcip, do zadziwienia! taki uszczypliwy, że i ojeu rodzonemu nie przepuści. Jednakże lubię pieniądze.

SCENA IX.

CHLESTAKOW I JÓZEF (*z atramentem i papierem*).

Chlestakow.

No i cóż łotrze?... widzisz, jak ugaszczają? (*zaczyna pisać*).

Józef.

Tak, chwala Bogu! tylko wie pan co?

Chlestakow (*pisząc*).

Cóż ?

Józef.

Wyjeżdżajmy ztąd co żywo. Dalibóg już czas, i bardzo czas.

Chlestakow (*pisząc*).

Dla czegoż to ?

Józef.

Tak sobie. Niech ich wszystkich Bóg ma w swojej opiece. Pohulaliśmy tu przez dwa dzionki, to i dosyć na tem. Na co z nami długo przestawać! rzuc pan ich! bo czasem być może, że kto drugi nadjedzie. Dalibóg panie! ruszajmy. A koniki tu są paradne: tak nas poniosą, że aż miło!

Chlestakow (*j. w*)

Nie, mnie się chce jeszcze tu do jutra pomieszkać.

Józef.

Do jutra! dalibóg panie jedźmy lepiej dziś. Chociaż nam tu bardzo dobrze; lubią nas, poważają, szanują; ale zawsze lepiej weześnie i z honorem wyjechać... Widać ze wszystkiego, że oni pana wzięli za kogoś drugiego. — Ojciec nawet pański, będzie się gniewał, że w drodze tak długo bawisz... Do prawdy, panie! tak-byśmy drapaęli ażby się zakurzyło. A koników tu danoby nam pięknych! (*klaszcze gębą*).

Chlestakow (*j. w*)

No, dobrze już, dobrze. Odnieś tylko wprzód ten list na pocztę, i razem odbierz podorożne. Ale patrzaj, żeby konie były jak można najlepsze. Powiedz jemszczykowi, że mu dam dobry tryngield, niech tylko pędzi tak jak z feldjegrem, i w drodze śpiewa piosnki narodowe!.. (*dalej pisząc*) Wyobrażam sobie, co na to powie, mój Trapiczkin; on taki dowcipniś...

Józef

Ja panie, odeszlę lepiej ten list przez tutejszego człowieka, a sam wezmę się do pakowania rzeczy, ażeby czasu napróżno nie tracić.

Chlestakow (*pisząc*).

Dobrze. Przynieś tylko świecę.

Józef (*wychodzi i następujące słowa mówi za sceną*.)

Ej! bracie! słuchaj! odniesiesz list na pocztę, i powiesz Pocztmejstrowi, żeby go przyjął bez pieniędzy; powiedz także, ażeby natychmiast przysłano nam trójkę koni, samych najlepszych, kuryerskich, rozumiesz? a za prochonne pan mój nie płaci bo jedzie za skarbowym interesem. Tylko żywo, jak można najprędzej, bo inaczej, pan mój się rozniewa. — Stój!.. jeszcze list nie gotowy.

Chlestakow (*j. w.*)

Ciekawa jednak rzecz, gdzie on teraz mieszka, czy na poczta-
amtskiej ulicy, czy też gdzie w mieście. On tak jak ja, lubi czę-
sto przenosić się z miejsca na miejsce, a nigdzie nie płacić. Na-
piszmy więc na los szczęścia: przy ulicy Pocztamtskiej. (*składa
list i adresuje*).

Józef (*ze świecą*).

Chlestakow (*pieczętuje — w tej chwili słychać za drzwiami głos
Dzierżymordy*).

Dzierżymorda (*za sceną*).

Gdzie leziesz, brodaczu! mówię ci: że nie wolno wchodzić!

Chlestakow (*daje list Józefowi*)

Na, masz, odnieś!

Abulin — głosy kupców (za sceną)

Puszczaj pan! nie możesz nas zatrzymywać. Przyśliśmy tu w ważnym interesie.

Dzierzymorda (j. w.)

Idźcie sobie, idźcie! nie przyjmuje! spi! (*hałas się powiększa*).

Chlestakow.

Cóż to jest?.. Józef! zobacz co tam za hałas?

Józef (patrzy w okno).

To jacyś kupcy, chcą tu wejść, ale ich kwartalny nie puszcza. Machają papierami, zapewne pana chcą widzieć.

Chlestakow (podchodzi do okna).

A co, moi kochani!

Abulin (za sceną).

Przychodzimy pod twoje stopy. Rozkaż królu przyjąć nasze prośby.

Chlestakow.

Puścić ich! — Józef, powiedz im niech tu wejda.

Józef (odchodzi.)

Chlestakow (*przyjmuje przez okno prośby, rozkłada jedną z nich i czyta.*)

„Jaśnie Wielmożnej Światłości Panu Finansowu od kupca Abdulina“.. (*mówi*) djabeł wie, co to? nigdy o takim urzędzie nie słyszałem!

SCENA X.

CHLESTAKOW I KUPCY (*z koszem wina i głowami cukru.*)

Chlestakow.

A co, moi kochani?

Kupcy wszyscy.

Czołem bijem, łaskawy panie!

Chlestakow.

Czegoż to chcecie?

Kupcy.

Nie gub nas, królu! — skrzywdzeni jesteśmy, i nie wiemy za co.

Chlestakow.

Przez kogo?

Abdulin.

Przez tutejszego Horodniczego. Ah! takiego Horodniczego króleczk, nigdzie jeszcze nie bywało. — On z nami tak postępuje, że nawet opisać trudno. Postojami już nas zupełnie zamorzył. Męczy i krzywdzi bezustannie. Nieraz schwyciwszy za brodę, mówi: „Ah ty Tataryn“!... Dalibóg aż żal bierze!... Gdybyśmy go czémkolwiek obrazili, to jeszcze nie mówię — ale to my, widzi Bóg, co on tylko zechce, święcie wypełniamy: każdy z nas (wiedząc już dobrze, że inaczej być nie może,) podaruje mu coś pięknego na suknię dla żony i córki; tego się nie żałuje, nikt z nas przeciwko temu i słowa nie mówi. Ale cóż, jemu wszystko mało. Nieraz przyjdzie do sklepu, i co tylko jest pod ręką to wszystko zabiera; sukna sztukę zobaczy, zaraz mówi: „E, mój kochany, to dobre sukno: zanieś go do mnie.“ Nie ma co robić, musisz nieść; a w sztuce będzie arszynów z pięćdziesiąt.

Chlestakow.

Czy to być może? ach! jakież on niegodny!

Abdulin.

Dalibóg! takiego Horodniczego, nikt z nas niepamięta. Nie mówię już o tem: że bierze coś delikatnego, ale nawet najgorszą rzeczą nie wzgardzi. Oto naprzykład, te proste śliwki, które już od siedmiu lat w sklepie moim leżą, a których nawet mój czeladnik jeść nigdy nie chce; on zawsze całą garść chwyci ich do kieszeni. A gdy nastaną jego imieniny, t. j. na Ś. Antoniego, starasz się mu wybrać co tylko jest najlepszego w handlu, niczego nie skąpisz nie, on chce jeszcze więcej: mówi że i na Ś. Onufrego także są jego imieniny. Cóż robić? nosimy mu prezenta i na Onufrego.

Chlestakow.

A to prawdziwy rozbójnik!

Abdulin (*wzdychając.*)

Ach!... a spróbuj mu się w czemkolwiek sprzeciwić, wpakuje ci do domu cały półk na postój. Zawoła cię do siebie, każe drzwi zamknąć i mówi: ja kochaneczku, bić ciebie nie będę; bo to jest prawem zabroniono; ale nakarmię cię śledziami.

Chlestakow.

Ach! co to za łotr! takiego warto wysłać prosto na Syberją.

Abdulin.

A już gdzie zechcesz królu, to go prowadź, tylko żeby od nas jak można najdalej. Nie pogardzaj ojczyznę naszą, chlebem i solą. Pozdrawiamy cię cukrem i winem.

Chlestakow.

Nie, tak źle o mnie nie myślcie; ja żadnych wziętków nie biorę. Ale jeżeli mi dacie, tak sposobem pożyczki, jakich ze 300

rubli to zupełnie co innego: to mógłbym od was przyjąć, z warunkiem oddania.

Abdulin.

Całem sercem dobrodzieju i Ojcie nasz *(dobywają pieniądze)*.
Ale co to znaczy trzysta — weź pięćset, a tylko nam dopomóż.

Clestakow.

I owszem, na pożyczkę: to ja wezmę od słowa.

Abdulin *(podając mu na srebrnej dużej tacy pieniądze)*

To już bądź łaskaw dobrodzieju, weź razem i tacę.

Chlestakow.

No, cóż robić, wezmę i tacę. *(Kupcy się kłaniają)*.

Abdulin

Za jednym razem przyjmij łaskawco i cukier.

Chlestakow.

O nie; tego ja przyjąć nie mogę.

Józef.

Jaśnie Wielmożny panie! dla czego nie bierzesz? weź pan! w drodze wszystko się przyda. Dajcie tu głowy i kosz! co macie dawajcie! wszystko skonsumujemy. A co tam jest jeszcze? powrozek! dawaj go tu, i powrozek w drodze potrzebny, — złamie się wóz, lub coś podobnego, to będzie czem związać.

Abdulin

Tak już zmiłuj się Jaśnie Oświecony Panie, chciej nas mieć w swojej opiece, bo jeśli ty nam nie dopomożesz, to już nie więcej nie pozostanie, tylko kamień u szyi uwiązać, lub się gdzie powiesić.

Chlestakow.

Nieodmiennie, nieodmiennie. Ja się o to postaram. (*Kupcy z pokłonami odchodzą*).

Głos kobiety (za sceną).

Nie, ty nie śmiesz mnie zatrzymywać! Ja na ciebie, przed nim samym skarżę się będę. Ty mnie nie kułakuj tak mocno!

Chlestakow.

Kto tam znowu? (*podchodzi do okna*). A, czegoż chcesz matulku?

Głos kobiety (j. w.)

Miłosierdzia twego panie proszę! racz mię królu wysłuchać.

Chlestakow (do okna).

Puścić ją!

SCENA XI.

CHLESTAKOW I POSZLEPKINA.

Poszlepkina.

Ach! królu i panie zmiłuj się nademną!

Chlestakow.

Któż ty jesteś?

Poszlepkina.

Ślósarka, ojciec mój, mieszcanka tutejsza Petronela Poszlepkina.

Chlestakow.

Czegóż chcesz odemnie ?

Poszlepkina.

Litości proszę: na Horodniczego czołem biję. — Daj Boże jemu wszystko złe, żeby ani on, ani jego dzieci, ani brat ani ciotka, w niczem żadnego sporu nie mieli.

Chlestakow.

Cóż on przewinił ?

Poszlepkina.

Oto, mojemu mężowi, kazał głowę ogolić i oddać w rekruty, chociaż na niego jeszcze kolej nie przypadła. Ten nic dobrego żeby on świata Bożego nie oglądał. Nawet podług prawa nie powinien był go zdawać, bo jest żonaty.

Chlestakow.

Jakże on mógł to zrobić ?

Poszlepkina.

Zrobił rozbójnik, zrobił: żeby go Bóg ciężko skarał na tym i na tamtym świecie! Należało wziąć szewskiego syna, bo to jest pijak, ladaco. — Ale rodzice jego dali mu bogaty prezent, tak on i przylgnął do syna kupcowej Panteleowej; a Panteleowa także posłała jego córce trzy sztuki płótna, więc on dalejże do mnie. Na co tobie mąż, powiada, on ci na nic nie potrzebny. Ja to sama lepiej wiem, czy on mi potrzebny lub nie, to moja rzecz. Nikczemnik przebrzydły! chociaż twój mąż powiada, dotychczas nic jeszcze nie ukradł, to wszystko jedno — prędzej czy później kraść będzie niezawodnie — jego i bez tego, na przyszły rok miano wziąć w rekruty. I zostawił mnie bez męża. Co teraz robić? któż się nademną zlituje! Rozbójnik ten! żeby on z całym swoim rodem nigdy szczęścia nie oglądał!

Chlestakow.

Dobrze, dobrze matko. Ruszaj już ja mu to wszystko... ruszaj z Bogiem! (*wyprowadza staruszkę*).

Poszlepki (*odchodząc*).

Nie zapomnij, ojeze mój! bądź litościwym.

Chlestakow.

Dobrze, dobrze! (*z okna wysuwają się ręce z prośbami*). A kto tam jeszcze? (*do okna*) Niechcę, niechcę! nie przyjmuję! (*odchodzi od okna*). Dojedli mi już do żywego — Józefie! nie wpuszczaj nikogo

Józef (*krzyżąc w okno*).

Idźcie już, idźcie! teraz nie czas! jutro przyjdziecie! (*odchodzi*).

SCENA VIII.

CHLESTAKOW I MARYA.

Marya (*wychodząc z drzwi bocznych*).

Ach!

Chlestakow.

Czegożeś się pani tak przestraszyła?

Marya.

Nie, jam się nie przestraszyła.

Chlestakow (*z przymileniem*).

Ach pani! mogeż się osmielić zapytać gdzie pani miałas się udać?

Marya.

Prawdziwie; ztem nigdzie iść nie chciała.

Chlestakow.

A dla czegoż jesteś pani, tu, w tem pokoju?

Marya.

Sądziłam, że znajdę tu moją mamę...

Chlestakow.

Nie, ja radbym wiedzieć, dla czego pani nigdzie iść nie chciałaś?

Marya.

Może przeszkodziłam, Pan byłeś zajęty ważnemi sprawami.

Chlestakow (*z przymileniem.*)

Oczy pani ważniejszemi są nad wszystkie sprawy. Pani nie mogłabyś mnie w niczem przeszkodzić — przeciwnie, sprawisz mi wielką przyjemność.

Marya.

Pan się po stołecznemu wyrażasz.

Chlestakow.

Tak, przed najpiękniejszą w świecie osobą. Czy nie raczysz pani usiąść? siadaj pani, bardzo proszę, patrzeć nie mogę na stojące osoby. — Dla pani potrzeba tronu a nie krzesła.

Marya.

W istocie, nie wiem... mnie i na krzesło dość jest wygodnie.

Chlestakow (*oglądając chusteczkę którą ona ma na szyi.*)

Co to za śliczna chusteczka!

Marya.

Pan zartujesz. Chcesz się tylko naśmiać ze skromnej parafranki.

Chlestakow.

Ach jakżebym pragnął być pani chusteczką, by objąć mojem ramieniem jej liliową szyjkę.

Marya.

Nie rozumiem o czym pan mówisz. — Jaka dziś śliczna pogoda.

Chlestakow.

Usteczka twoje pani, śliczniesze są od samej pogody.

Marya.

I znowu... Czy nie lepiej będzie: ażebyś mi pan na pamiętkę, napisał w Sztambuchu jakiegokolwiek wierszyki. Pan bez wątpienia, musisz ich wiele umieć?

Chlestakow.

Dla ciebie pani, gotów jestem wszystko uczynić. — Rozkaż tylko, jakich wierszy potrzebujesz?

Marya.

Jakiegokolwiek, tylko żeby były nowe i ładne.

Chlestakow.

To dla mnie fraszka, ja ich wiele umiem na pamięć.

Marya.

No, zadeklamujże mi pan, na przykład te, które masz w Sztambuchu napisać.

Chlestakow.

Na cóż jeszcze deklamować? Ja i tak napiszę.

Marya.

Ach, ja lubię słuchoać wierze.

Chlestakow.

W mojem archiwum jest ich dużo i różnych. Wreszcie kiedy pani chcesz koniecznie to jej wyrecytuję naprzykład ten tryolecik:

Dziewczę! chcę cię pocałować,
Bo masz buzię bardzo ładną;
Ale proszę się nie chować.
Dziewczę! chcę cię pocałować,
Nie mogę tego darować;
Tylko proszę, nie bądź zwaźną:
Dziewczę! chcę cię pocałować.
Bo masz buzię bardzo ładną.

(Przysuwa się do niej z krzesłem, ona się odsuwa)

N o, i wiele innych, których na prędko nie mogę przypomnieć. Ale najlepsze ze wszystkich, są te:

Wszystko to, co człowiek się ubiega,
Z nienacka z czasem upływa —
Każdy z nas jaśnie to prawo postrzega
Że chwila chwilę porywa.
Lecz miłość moja która z serca płynie,
Nigdy dla ciebie nie zginie.

(Znowu się przysuwa, lecz ona się odsuwa z krzesłem).

Marya.

Miłość! ja nie rozumiem co to jest miłość... nigdy o niej nie słyszała.

Chlestakow *(znowu się przysuwa).*

Na co pani odsuwasz swoje krzesło? nie lepiejże siedzieć blisko, jak przyjaciel z przyjacielem,

Marya (*odsuwa się*.)

Dla czegoż blisko? można i z daleka; to wszystko jedno.

Chlestakow (*przysuwając się*.)

Kiedy wszystko jedno więc można i blisko.

Marya (*odsuwa się*.)

Ale dla czegoż to?

Chlestakow (*znowu się przysuwa*.)

Pani się tylko zdaje, że blisko; wyobraź pani sobie, że jesteśmy z daleka od siebie... Ach! pani byłbym niewypowiedzianie szczęśliwym, gdybym cię mógł do serca mojego przycisnąć.

Marya (*patrząc w okno*.)

Co to jest? zdaje się że coś przeleciało? Sroka czy jaki inny ptaszek?

Chlestakow (*całuje ją w czoło i patrzy w okno*.)

To sroka.

Marya (*wstaje z nieukontentowaniem*.)

Ach! tego już nad to... Taka zuchwałość!... (*chce wyjść*.)

Chlestakow (*zatrzymując ją*.)

Przebacz pani! uczyniłem to z gorącej miłości; doprawdy z miłości!

Marya.

Pan mnie uważasz za taką parafiankę...

Chlestakow (*zatrzymując ją ciągle*.)

Z miłości, dalibóg z miłości. Ja tak tylko żartowałem. Nie gniewaj się pani!... oto na kolanach błagam cię o przebaczenie. (*pada na kolana*.)

SCENA XIII.

CIŻ I ANNA.

Anna (*wchodzi z bocznych drzwi, a widząc Chlestakowa u nóg Maryi, klaska w ręce mówiąc z zadziwieniem*).

Co widzę?!

Chlestakow (*n. s. wstając*).

Zjedźże djabła!

Anna (*do Maryi*).

Co to jest? he! gdzieś ty to widziała?

Chlestakow (*raptem pada na kolana*).

Ach! mamunio droga! jestem zakochany, śmiertelnie zakochany! — Proszę cię o rękę Maryi.

Anna.

Jakto? mój Boże! możeż to być?... tak prędko, i jeszcze na kolanach!

Chlestakow.

O rękę Maryi proszę! a jeżeli ty mamuniu! na to nie zezwolisz, w oczach twoich umrę, skonam, zastrzelę się! na tem samym miejscu na śmierć się zastrzelę!

Anna.

Czy to we śnie, czy na jawie?... jeszcze z zadziwienia przyjść do siebie nie mogę.. nigdy nie śmiałam myśleć nawet o podobnym szczęściu. Pan powinienes się był ożenić z jaką księżniczką lub grafianką.

Chlestakow.

O, to dla mnie wszystko jest jedno! Ja się nie ubiegam za grafiankami. Jeżeli pani nie uczynisz zadość mojej prośbie, to nie

możesz sobie nawet wyobrazić, co ze mną się stanie. — Przysięgam ci na słowo honoru! zem gotów na wszystko: u mnie umrzeć jest niezem.

Anna.

Ach! mój Boże! pan mnie przestraszasz! — Życie sobie odebrać, a jeszcze w tak straszny sposób!... Wstań pan! już się zgadzam, chętnie się zgadzam!... Ach! tylko wstań! wstań pan proszę.

Chlestakow (*wstając*).

Ach! teraz jestem naj... (*n. s*) I ta również apetytna!
(*raptem bierze się do Anny*) Ach! jakże jestem szczęśliwy, że na koniec mogę...

SCENA XIV.

CIŻ I HORODNICZY.

Horodniczy.

Jaśnie Wielmożny panie! miej litość! nie gub mię!

Chlestakow.

Co panu jest?

Horodniczy.

Oto: tutejsi kupey, skarżyli się na mnie przed Jaśnie Wielmożnym panem. Lecz na Boga przysięgam! że to wszystko co oni mówili, ledwie o połowę jest prawdą. Oni to raczej oszukują i obdzierają ludzi. — Słósarka zaś nagadała: jakoby ja, jej mężowi głowę ogolił, to jest fałsz, nie goliłem, na honor! nie goliłem, ona sama ogoliła.

Chlestakow.

No, no... uspokój się pan, ja im nic nie wierzę.

Horodniczy.

Nie wierz, Jaśnie Wielmożny panie! nie wierz! To są wiertni łgarze, łotry, jakich święta ziemia jeszcze nie nosiła.

Chlestakow.

O! tak, bez czci, bez wiary; ja to od razu z ich oczu poznałem.

Anna.

Wieszże ty Antolku! jaki zaszczyt nas spotyka?... Oto Jaśnie Wielmożny pan, prosi o rękę naszej Maryi.

Horodniczy.

Co, co, co?... oszalałaś duszko?... Nie miej jej tego za złe Jaśnie Wielmożny panie! ona to czyni przez wrodzoną głupowatość; takąż była i jej matka.

Chlestakow.

Nie, ja na seryo proszę o rękę waszej córki. Jestem w niej rozkochany.

Horodniczy.

Nie śmiem wierzyć Jaśnie Wielmożny panie.

Chlestakow.

Mówię to nie żartem. I jeżeli pan nie zechcesz zezwolić, to zrobisz mię najnieszczęśliwszym z ludzi.

Horodniczy.

Dotąd nie śmiem wierzyć; nie godni jesteśmy takiego zaszczytn.

Chlestakow.

Ulituj się panie! nie chciej mnie do rozpacy przywodzić. Jeżeli mi nie oddasz ręki swojej córki, gotów jestem na wszystko

Horodniczy.

Nie mogę wierzyć: Jaśnie Wielmożny pan zartuje.

Anna.

Ach! jakież z ciebie bałwan! przecież ci mówią...

Horodniczy.

Nie mogę wierzyć.

Chlestkow.

Raz ostatni proszę: oddaj mi pan rękę swojej córki, gdyż powtarzam, że jestem gotów na wszystko. A kiedy się zastrzelę, wówczas pan będziesz sądzony.

Horodniczy.

Ach, mój Boże! ja nic nie przewiniłem, ani duszą ani ciałem. Nie chcę się gniewać Jaśnie Wielmożny panie! rób ze mną co ci się podoba! ale w mojej głowie, teraz... sam nie wiem co się zrobiło. W jednej chwili zostałem takim głupcem, jakiego dotąd na świecie nie było.

Anna.

No, dalejże! pobłogosław!

Chlestkow (podchodzi do niego z Maryą.)

Horodniczy.

Boże błogosław! ale ja nie jestem winien.

Chlestkow i Marya (całują się.)

Horodniczy (patrząc na nich.)

Co u diabła... czy ja dobrze widzę?... *(przeciera oczy)* Tak, w samej rzeczy, całują się — doprawdy się całują. Tak jakby był prawdziwym narzeczonym! ach! jakież to szczęście do nas zawitało!

SCENA XV.

CIŻ I JÓZEF.

Konie już gotowe.

Chlestakow.

A! dobrze; zaraz.

Horodniczy.

Pan odjeżdża?

Chlestakow.

Tak, jadę.

Horodniczy.

Przecież, to jest... zdaje się... Pan raczyłeś sam, namienić coś o weselu.

Chlestakow.

Tak, ja tylko na jeden dzień jadę do mojego stryja; jest to człowiek majątny, który nie daleko ztąd nie mieszka — A jutro niezawodnie, będę tu z powrotem.

Horodniczy.

Nie ośmielimy się go zatrzymywać, w nadziei szczęśliwego powrotu.

Chlestakow.

O! ja jestem punktualny. Bywaj zdrowa najdroższa Maryo, jedyny przedmiocie moich cierpień! smutno, choć na czas krótki rozstawać się z wami! Bywaj zdrowa, duszo moja! (*całuje ją w rękę.*)

Horodniczy.

Czy niepotrzebujesz pan czego na drogę? Zdaje się, że za-
dałeś pieniędzy?

Chlestakow.

O nie, na co. (*pomyślawszy nieco*) A wreszcie, nie zawadzi.

Horodniczy.

A wiele?

Chlestakow.

Cokolwiek. Dałeś mi pan wówczas, zdaje się dwieście... to jest, nie dwieście ale szczerze mówiąc, czterysta; ja nie chcę korzystać z pańskiej omyłki. — Otóż chciej i teraz dać mi taką sumę, ażeby było równo ośmset.

Horodniczy.

Zaraz, natychmiast. (*wyjmuje z pugilaresem.*) Oto są! a do tego, jakby umyślnie samemi nowiusienkami bumażkami.

Chlestakow.

A, tak. (*bierze i rozpatruje assygnaty*) Wyśmienicie! mówią że to oznacza nowe szczęście, kiedy kto bierze nowe bumażki.

Horodniczy.

Tak, w samej rzeczy.

Chlestakow.

No; teraz bywajże mi zdrów mój kochany teściu! mocno mnie zobowiązałeś swoją gościnnością; wiele ci jestem winien. I jeżeli mam prawdę wyznać, lecz nie bierz to za komplement, ale nie doznałem nigdy w życiu podobnego przyjęcia. Bądź zdrowa mamuuu! Żegnaj cię Maryo!... Czekaście mnie z powrotem; może być, że jutro znowu się zobaczymy. (*Wychodzi — za nim wszyscy*).

(ZA SCENĄ.)

Głos Chlestakowa.

Bywaj zdrowa Maryo! żegnam cię mój aniele!

Głos Horodniczego.

Jakto? to pan prosto na prekładnych jedziesz?

Głos Chlestakowa.

Tak, już ja do tego przywykłem. Mnie głowa boli od res-sorów.

Głos Jemszczyka.

Tpr...

Głos Horodniczego.

To przynajmniej pozwól pan zasłać czemkolwiek, chociażby dywanem. Jeżeli mu się podoba, to każę natychmiast podać?

Głos Chlestakowa.

Nie, nie potrzeba... na co to! a wreszcie, każ pan niechaj dadzą dywan.

Głos Horodniczego.

Ej! Awdota! ruszaj do składu: i przynieś co żywo dywan; ale ten najlepszy z niebieskim dnem, perski! prędzej!..

Głos Jemszczyka.

Tpr...

Głos Horodniczego.

Kiedyż więc pan rozkaże, czekać na siebie?

Głos Chlestakowa.

Jutro lub pojutrze niezawodnie.

Głos Józefa.

A! to dywan? daj go tu; ot tak.. tak kładnij!.. teraz daj tu z tej strony siana.

Głos Jemszczyka.

Tpr...

Głos Józefa.

Tu, tu; z tej strony!.. tak!.. jeszcze!.. teraz dobrze. Miętko będzie siedzieć! (*bije ręką po dywanie*) Teraz niech pan siada!

Głos Chlestakowa.

Bywaj zdrów kochany panie teściu!

Głos Horodniczego.

Żegnam Jaśnie Wielmożnego pana.

Kobiece głosy.

Szczęśliwa droga! panie Aleksandrze! do widzenia!

Głos Onlestakowa..

Do widzenia mamuniu!

Głos Jemszczyka.

Ej! wy! pajdi!.. (*Dzwonek za sceną dzwoni korytna zapada.*)

KONIEC AKTU IV.

AKT V.

(Pokój ten sam.).

SCENA I.

HORODNICZY — ANNA — MARYA I KWARTALNY.

Horodniczy.

A co moja żono! czy myślałaś kiedy o podobnym szczęściu? Co za bogata partya! wyznaj otwarcie: że tobie nawet we śnie nic podobnego się nie zamarzyło. — Z prostej Horodniczyny, w mgnieniu oka zostać... fiu wielką damą! i spokrewnić się z Jaśnie Wielmożną familią!

Anna.

Nie. Już ja oddawna o tem wiedziałam. Dla ciebie to wydarzenie zdaje się być osobliwem, bo jesteś prostak, nie widziałeś nigdy porządnych ludzi.

Horodniczy.

Jakto nie widziałem? ja sam jestem porządnym. Niech kaci porwą! Co z nas teraz za ptaszki; górnołotne! nie prawdaż Anulku?... Teraz to zadam pieprzu wszystkim tym, którzy na mnie podawali skargi i donosy. Ej, jest tam kto? (*Kwartalny wchodzi*) A, to ty Swistunow. Zwołać wszystkich kupeców. Ja im dam skrzyć się! widzisz ich kanalie... poczekajcież gołąbeczki! „Teraz to ja wam stanę kością w gardle.“ Zanotować każdego który

chodził na mnie ze skargą, a najwięcej tych pisarzuków co im bazgrali prośby. Ogłosić wszystkim, ażeby wiedzieli, jakie dziś szczęście Bóg zsyła na dom Horodniczego, bo wydaje swoją córkę, a takiego urzędnika, jakich mało na świecie; który jest w stanie tutejszych mieszkańców przepędzić, w turmę zasadzić, lub zrobić z nimi co zechce. — Oznajmić wszystkim a wszystkim, ażeby o tem całe-miasto wiedziało. Krzycz na całe gardło, każ tarabanić, walić we dzwony; „Kiedy bal! to bal!“ (*Kwartalny odchodzi*) Nie prawdaż Anuleczku, co? — Powiedźże mi moja duszo, cóż teraz z nami będzie? gdzie mamy mieszkać? tu, czy w Petersburgu?...

Anna.

Naturalnie, że w Petersburgu. Tu w żaden sposób zostać nie możemy.

Horodniczy.

Tak, tak, w Petersburgu, chociaż nie! źle byłoby i tu mieszkać. Mnie się zdaje, że teraz moje Horodniczostwo, precz do czarta! — nie prawdaż Anuleczku, co?

Anna.

Naturalnie. — Co tam, to Horodniczostwo!

Horodniczy.

Jak sądzisz Anuleczku, ja myślę, że teraz będę już mógł bezpiecznie lepsze miejsce schwycić; dlatego: że nasz przyszły zięć jest za pan brat ze wszystkimi ministrami, i bywa na cesarskich pokojach. — On może mię posunąć tak wysoko, że czasem i w generalitet wleżę. Jak myślisz Anuleczko, mogę ja być generałem?

Anna.

Dla czegoż nie! możesz i bardzo możesz.

Horodniczy.

Ach! co to za rozkosz być generałem! Wstęga przez plecy!., a jaka wstęga lepsza, Anuleczku? czerwona, czy błękitna?

Anna.

Ma się rozumieć, że błękitna.

Horodniczy.

Oho widzisz, czego jej się zachciewa!... tymczasem dobra będzie i czerwona. Wiesz że ty Anulku, dlaczego ja chciałbym koniecznie zostać generałem?... oto dlatego, że gdy przypadkiem zdarzy się gdziekolwiek jechać, to zaraz feldjegry i adjutanty skaczą obok ciebie, za tobą i przed tobą! A na stacyach pocztowych, nikomu nie dadzą; wszyscy ciebie tylko czekają: a to same tytularne figury; kapitanowie i horodniczowie; a ty sobie ani dbasz, tylko siedzisz w powozie i gładzisz wąsy. Jesteś zaś na obiedzie u jakiego gubernatora, to horodniczy stoi tam gdzieś z daleka! He, he, he! (*zachodzi się ze śmiechu*) To bardzo pociągające!

Anna.

Tobie zawsze głupstwa się podobają. Powinieneś być baczny na to: że odtąd twój sposób myślenia, należy zupełnie odmienić, gdyż twojami znajomymi będą: nie, lada jaki sędzia, z którym ty jeździsz szczuć zające, albo jakiś tam Ziemenika; ale przeciwnie, osoby w znaczeniu i z najlepszym wychowaniem, jako to: hrabowie, książęta... Dlatego ja się bardzo boję o ciebie: bo ty wybąkniesz czasem takie słówko, którego nikt w żadnym wyższym towarzystwie nie usłyszy.

Horodniczy.

Tak i cóż? słówkiem przecież nikogo nie skaleczysz.

Anna.

Dobrze to jest: dopókiś był horodniczym i żył w tej mieścinie, wszystko tobie uszło; ale w stolicy, to zupełnie co innego.

Horodniczy.

W rzeczy samej, prawda -- mówią: że w Petersburgu, tak smaczne są ryby, że gdy je jeść zaczniesz, to aż ślinka pociecze.

Anna.

W twojej głowie tylko same ryby! — ja chcę koniecznie, ażeby dom nasz był pierwszym w całej stolicy, aby pokoje moje były przepelnione najdroższymi pachnidłami, ażeby każdy wchodzący mrużąc oczy powiedział: (*czyni to i wacha*) Ach! jak tu przyjemnie!

SCENA II.

CIŻ I KUPCY.

Horodniczy (*do wchodzących kupców*).

A! jak się macie ptaszki!

Kupcy (*klaniając się*).

Zdrowia życzymy ojeze!

Horodniczy.

A co gołąbeczki, jak tam idzie handel? Co, samowarniki, arszyniki przekłete! skarżyć się, he? Protokanale, archibestyje! skarżyć się! Co? „wszystko zabiera!“ myśleliście może, że waszym słowom uwierzy i do turmy zapakuje!... A czy wiecie wy? Łajdaki, do stu par djabłów! wiecież wy, że...

Anna (*przerywając*).

Ach! mój Boże! mój Antolku, jakich ty nieprzyzwoitych słów używasz!

Horodniczy (*z gniewem*).

E! co tam, ja nie o tem teraz myślę!... Wiecież wy, że tenże sam urzędnik, przed którym mię oskarżyliście, żeni się z moją córką? he?... a co? na to powiecie? — Teraz ja was wszystkich

tak wezmę w kluby, że ani jednego włoska w waszych brodach nie zostanie!... Złodzieje! wy tylko oszukujecie tutejszych mieszkańców... Rabusie! zrobi który z nich podrad ze skarbem, na sto-tysięcy... okpi, odrwi, dostawując zgniłe sukna, a potem kanalia ofiaruje za to dwadzieścia arszynów. — O! gdybym ja to był wprzód wiedział, że mi tak odplaciecie, wszystkich bym z góry powywieszał! — Brzech swój naprzód wystawi i mówi że on kupiec; nie rusz go. Ja, powiada, i szlachecowi w niczem nie ustąpię!... Szlacheć!... ach, wy chamy! — Szlacheć uczy się nauk: jeżeli go i sieką w szkołach, to dlatego, żeby był dobrym obywatelem, stał się użytecznym dla bliźnich i kraju, a ty co?... ty zaczynasz twój zawód od filuteryi, frantostwa... ciebie gospodarz twój bije za to, że nie umiesz oszukiwać! — Wypasie brzech, naładuje kieszeń i już myśli że ważna figura... ptfu!... na twoją ważność!... dlatego że szesnaście samowarów w dzień wypijasz, masz być ważnym?

Kupecy (*kłaniając się*).

Winniśmy, winni — Antoni Antonowiczu.

Horodniczy.

Skarzyć się?... a kto ci pomógł odrwić, kiedyś budował most i podał drzewa na dwadzieścia tysięcy, wówczas kiedy go nie było więcej jak na sto rubli? he?... ja pomogłem. A ty koźla brodo, o tem zapomniałeś? Gdybym był chciał, jużbyś dawno siedział w Sybirze. Milczysz? he?!

Abdulin (*pada na kolana*).

Jak Bóg w niebie winienem. Nas zły duch opętał. Już zarzekamy się nie iść nigdy ze skargą. Wszystko co zechcesz panie, gotowi jesteśmy wykonać, tylko się nie gniewaj.

Horodniczy.

Tylko się nie gniewaj!... teraz tarzasz się u nóg moich, dlatego żem was zwyciężył: a gdyby choć cokolwiek wierzch był z waszej strony, tobys ty mnie kanalio wciągnął w same błoto i jeszcze kamieniem przywalił.

Kupcy (*bijąc pokłony na kolanach*).

Nie gub nas biednych Antoni Antonowiczu!

Horodniczy.

Teraz, nie gub! a przed tem co było? Jabym was wszystkich do turmy!.. (*machnął ręką*) Ale Bóg kazał przebaczać! Wstańcie, dosyć już tego! nie jestem mściwy; tylko teraz! patrzcie żeby było inaczej! Ja wydaję moję córkę, nie za jakiego prostego szlacheica. Patrzajcież! ażeby powinszowanie było przyzwoite, nie doś na tem, ażeby zbyć jaką fraszką, lub głową cukru, rozumiecie? — No, ruszajcie z Bogiem!

Kupcy (*odchodzą*).

SCENA III.

CIŻ, LIAPKIN — ZIEMLENIKA — *później* ROSTAKOWSKI.

Liapkin (*jeszcze we drzwiach*).

Mam że wierzyć, kochany panie Antoni? Do twojego domu nadzwyczajne szczęście zawitało.

Ziemlenika.

Mam honor powinszować tak nadspodziewanego szczęścia. Serdecznie mnie to ucieszyło, gdym się o tem dowiedział (*całuje w rękę Annę i Maryję*).

Rostakowski (*wchodząc*).

Winszuję ci panie Antoni; niech Bóg przedłuza wiek twój i tej młody pary. Niech was licznem potomstwem obdarza, od wnucząt aż do prawnucząt. (*całuje rękę Anny i Maryji*).

SCENA IV.

CIZ — KOROPKIN Z ŻONĄ — LIULIUKOW.

Korobkin.

Mam honor złożyć im powinszowanie. (*całuje w rękę Annę i Maryę*).

Żona Korobkina.

Ach! z serca wam winszuję, tego nowego szczęścia.

Liuliukow.

I mnie niech będzie wolno powinszować... panu!... pani!... (*całuje w rękę Annę, potem robi miny szyderskie do publiczności — do Maryi*) I pani!... (*całuje ją w rękę i znowu robi także same miny*).

SCENA V.

(*Wiele gości w surdutach i frakach zbliżają się najprzód do Anny, później do Maryi całując ich w rękę i szepcząc coś z ukłonami*).

BOBCZYŃSKI I DOBCZYŃSKI.

Bobczyński

Mam honor powinszować.

Dobczyński.

Mam honor powinszować.

Bobczyński.

Nowego szczęścia!

Dobczyński.

Nowego szczęścia!

Dobczyński (do Horodnickiego).

Panu!...

Dobczyński (j. w.)

Panu!...

Dobczyński. (do Anny.)

Pani!...

Dobczyński (także.)

Pani!... (razem zbliżając się do Anny i uderzając się łbami całując ją w rękę).

Dobczyński (do Maryanny).

I pani, panno Maryo!... mam honor powinszować. (całując ją w rękę) Pani zostajesz najszczęśliwszą istotą; będziesz nosić złotem haftowane suknie, pożywać delikatne potrawy, i trawić chwile najweselsze...

Dobczyński (przerrywając).

I pani, panno Maryo! mam honor powinszować. (całując ją w rękę) Niech ci Bóg da bogactwo, dukaty i synka, ot tak... małeńkiego, (pokazuje rękę) któregooby można było na dłoni posadzić, i któryby tylko krzychał: ua, ua, ua!

SCENA VI.

(*Jeszcze kilku gości wchodzi i całują ręce tak jak uprzednio.*) CIŻ
I CHŁOPOW Z ŻONĄ.

Chłopow.

Mam honor...

Żona Chłopowa (*bierzy naprzód i mówi prędko do Anny*).

Winszuję, winszuję pani. (*całują się*) Ach! jakżem uradowana — powiedziano mi: że pani Horodniczyna wydaje za mąż córkę. Ach mój Boże! mówię do mojego męża: Czy słyszysz Łukaszku, co za szczęście spotyka naszych dobrych przyjaciół!... i tak zostałam tem zachwyconą; że z wielką niecierpliwością śpieszyłam osobiście okazać wam moją radość. Chwałaż Bogu pomyślałam sobie, pani Horodniczyna oczekiwała ciągle jak najlepszej party dla swojej córki, a teraz właśnie przeznaczenie tak zrządziło, jak sobie życzyła. I w istocie, tak byłam tem uszczęśliwioną, że mówić nie mogłam z radości, i rzewne łzy roniałam. Mąż mój odzywa się do mnie; czegoż to moje życie tak niemiłosiernie płaczesz? ach! Łukaszczku, mówię, ja sama niewiem; a łzy tak jak z fontanny laty się na posadzkę

Horodniczy.

Siadajcież panowie! bardzo proszę. Ej Michałek! przynieś więcej krzeseł. (*goście siadają*).

SCENA VII.

CIŻ, CZASTNY PRYSTAW I KWARTALNI.

Czastny Prystaw.

Mam honor powinszować Jaśnie Wielmożnemu panu: szczęścia i nowych pomysłości w jak najdłuższe lata.

Horodniczy.

Dziękuję, dziękuję! proszę siedzieć, panowie! (*goście siadają*)

Liapkin.

Opowiedzcie nam panie Antoni, od początku aż do końca, wszystkie szczegóły tego romansu, prosimy!

Horodniczy.

Jest to nadzwyczajne wydarzenie, tok dzieła szczególny: oświadczył się sam osobiście.

Anna.

A to w sposobie pełnym najgłębszego uszanowania, i najwyższej delikatności. Pani! mówił do mnie z czułością, nie wracam żadnej uwagi na to: że nie jesteś Księżną lub Grafinią; ale jedynie przez wzgląd na twoją pani dostojność, i na rzadkie przymioty duszy twej córki; proszę cię o jej rękę, a jeżeli będziesz tak nielitościwą...

Marya.

Ach mamol! on to do mnie mówił.

Anna.

Cicho! ty nie jeszcze nie rozumiesz, zatem nie mieszaj się do tego co do ciebie nie należy! — Czy uwierzysz pani, mówił dalej, ja dla tego jedynie błagam cię o twoją rękę, czyli o rękę twej córki, że jej anielskie wdzięki wprawiły mię w zachwycenie,

i przejęły serce moje najwyższem uczuciem. — Gdy się tak czule wyrażał, chciałem mu powiedzieć: że to jest dla nas wielkim i niezasłużonym zaszczytem. . . natenczas on, padł w milezeniu na kolana, i głosem rozpaczy rzekł: „Ach! pani! nie żądaj mojego nieszczęścia! jeżeli nie uczynisz zadość mojej prośbie, oto zaraz w twoich oczach, życie sobie odbiorę.

Marya.

Doprawdy, mamó, on to mnie mówił.

Anna.

Tak, zapewne... i o tobie także; ja tego nie przeczę.

Horodniczy.

I okropnie nas przestraszył. „Zastrzelę się! mówił, na śmierć się zastrzelę!“

Wielu z gości.

No, proszę!

Liapkin.

W istocie, to rzecz szczególna!

Chłopow.

Oryginalna! widać że tak chciało przeznaczenie.

Ziemenika (n. s.)

Takiej szarej gąsce, to szczęście samo w rękę lezie.

Liapkin.

Jeżeli chcesz panie Antoni, więc z największą chęcią odstąpię ci tego charta, którego targowałeś.

Horodniczy.

Mnie teraz nie charty w głowie.

Liapkin.

Kiedy ci się ten nie podoba, to możesz sobie wybrać innego.

Żona Korobkina.

Ach! kochana Horodniczyno, tak jestem uradowana; z waszego szczęścia, że nie możesz sobie wyobrazić.

Korobkin.

Gdzież teraz przebywa nasz dostojny gość, czy nie możnaby wiedzieć?... Słyszałem że odjechał.

Horodniczy.

Tak, na jeden dzień tylko, za nader ważnym interesem.

Anna.

Do swojego stryja, po błogosławieństwo.

Horodniczy.

Tak jest, tak; prosić go o błogosławieństwo — lecz jutro...
(*kicha — życzenia jednogłośnie przytomnych*) Bardzo dziękuję!...
Lecz jutro będzie tu z powrotem. . . (*znowu kicha jednogłośnie życzenia, między któremi słycać inne głosy jak to:*

Czastnego Prystawa.

Życzę zdrowia JW. Panu!

Bobczyńskiego.

Sto lat i worek dukatów!

Dobczyńskiego.

Sto chat i dwieście konsolacy!

Liapkina.

A bodajes pękł!

Żona Korobkina.

Niech cię piorun trzaśnie!

Razem

Horodniczy.

Najpokorniej dziękuję! I nawzajem, tegoż samego każdemu z was życzę.

Anna.

Zamyślamy odtąd mieszkać w Petersburgu. Bo przyznać potrzeba, że tutejsze powietrze, za nadto już wiejskie!... I bardzo dla nas nie zdrowe. Przytem, mąż mój otrzyma tam rangę generała.

Horodniczy.

Tak, prawdę mówiąc, panowie! chciałbym serdecznie zostać generałem.

Chłopow.

O! daj to Boże!

Rostakowski.

Wszystko to jest w mocy Boga!

Liapkin.

Wielki okręt, wielka woda! według stawu grobla!

Ziemenika.

Według zasług, chwala!

Liapkin (n. s.)

Dokaże sztuki, gdy w rzeczy samej zostanie generałem! — Jemu generalstwo tak przystoi, jak cielakowi siodło! Nie, jeszcze to widłami pisano. Tu są godniejsi od ciebie, którzy dotychczas nawet nie myśleli o generalstwie.

Ziemenika (n. s.)

Widzisz go już i na generała lezie! czego dobrego, a to być może. (*obracając się do Horodniczego*) Wówczas, panie Antoni dobrodzieju, nie zapomnij i o nas.

Liapkin.

A jeśli się coś wydarzy, na przykład jaka potrzeba w sprawach, nie chciej nam odmawiać swojej pomocy.

Korobkin.

Na przyszły rok, zawiozę mojego starszego syna do stolicy, dla kończenia nauk; chciej być panie! jego protektorem, i zastęp sierocie miejsce ojca.

Horodniczy.

Z mojej strony, gotów jestem wszystko uczynić.

Anna.

Ty, Antolku, nigdy nieodmawiasz, wszystko obiecujesz. Nie będziesz miał czasu nawet i myśleć o tem. Jakże można, tak siebie obarczać podobnemi fraszkami?

Horodniczy.

Dlaczegoż nie, moja duszko? kto tylko chce, wszystko może.

Anna.

Może łatwo to mówić.

Żona Korobkina (*do innych gości*).

Słyszycie państwo, jak nas proteguje?

Żona Chłopowa

To nie nowina, ona taką zawsze była; wiemy o tem dobrze: posadz ją za stół, to ona jeszcze i nogi...

SCENA VIII.
CIŻ I POCZTMEISTER.

Pocztmeister.

Ach panowie, przychodzę wam objawić rzecz bardzo zadziwiająca.

Horodniczy.

Cóż takiego? słuchamy.

Pocztmeister.

Ale nie wiem jak tu zacząć: okoliczność tak dziwna, że...

Goście.

To coś bardzo ciekawego — mów pan, mów prędzej!

Pocztmeister.

Przychodzę do domu, i zastaję na poście list tego urzędnika, który raczył wszystkie nasze zakłady obejrzeć. Na kopercie było zaadresowano jakiemuś tam Trapietkinu w Petersburgu; przy ulicy pocztamtskiej. Skorom wyczytał pocztamską ulicę, strętwiałem w momencie. Myślę sobie, to niezawodnie o mnie coś pisze. Zapewnie się skąd dowiedział: że ja czasem przez ciekawość lubię jaki list przeczytać; i w teje samej chwili, jakaś moc niewidoma, pokusiła mię rozpieczętować.

Liapkin.

Jak to! ten sam list?

Horodniczy.

Jakim czołem?... *(wszyscy przerażeni)*.

Pocztmeister.

Ja również, tak jak i wy teraz, tą myślą przerażony, z wielkiem strachem położyłem list na stole, i chciałem już zawołać pocz-

tyliona, dla odprawienia szafafete. Lecz gdy się cokolwiek od stołu oddalił, znowu coś magnetycznego pociągnęło mnie ku niemu. W jednym uchu szepcze rozpieczętuj! w drugim, nie rozpieczętywuj! rozpieczętuj: nie rozpieczętywuj. Z jednej strony jakby mnie kto w rękę szturkał, z drugiej mówi: ani się waż! zginiesz jak mucha! — Tak może z minut dziesięć walczyłem sam z sobą, nie wiedząc co przedsięwziąć; nakoniec zdecydowałem się rozpieczętować!

Horodniczy.

I pan śmiałeś?

Pocztmeister.

Dalibóg rozpieczętowałem! lecz z taką trwogą, jakiej nigdy nie doświadczałem. Kazałem przymknąć okiennice, sam własnoręcznie zatknąłem wszystkie szparki. Lecz skorom palce na laku położył, ogień przejął wszystkie moje członki, a gdy pieczęć rozłamał, uczułem dreszcz i zimno, jakby krew we mnie zamarła! — Kiedym nareszcie dobył już ten list nieszczęsny, nie pamiętałem wówczas, gdzie i na którym świecie byłem. Wargi moje i zęby tak strasznie drgały, że przez całą godzinę jednego wiersza nie mógł przeczytać.

Horodniczy.

Jak pan się odważyłeś rozpieczętować list, tak ważnej i pełnomocnej osoby?

Pocztmeister.

W tem też to i sztuka... że on nie jest ani ważną, ani pełnomocną osobą.

Horodniczy.

Czemże więc jest, według pańskiego zdania?

Pocztmeister.

Ani to, ani owo. — Djabeł go wie kto on taki!

Horodniczy (z zapalczywością.)

Jak pan śmiesz to mówić? wiedz o tem, że ja każę wzięść go do aresztu.

Pocztmeister.

Kto? pan?

Horodniczy.

Tak, ja.

Pocztmeister.

Za krótkie ręce.

Horodniczy.

A wieszże mój panie, że tenże sam urzędnik żeni się jutro z moją córką? — I że ja jak tylko zostanę generałem, to cię w Sybir zapakuję.

Pocztmeister.

Ach, mój panie Antoni, nie unos się tak bardzo! Co tam Sybir! Sybir! od nas daleko. Oto lepiej przeczytam ci ten list tajemniczy. Panowie pozwolą?

Wszyscy.

I owszem... Czytaj pan, czytaj.

Pocztmeister (czyta).

„Maja dnia... i t. d. — Doniosłem ci już o tem, kochany mój Trapieczkin, jak mnie ograł w Penzie pewien piechotny kapitan. Mój oberżysta chciał mnie już zawlec do turmy. A do ojca nie śmiałem nie pisać, bo u niego zawsze jedna i ta sama piosneczka: różgi i różgi. Byłem w położeniu bardzo smutnym, gdy nareszcie, los mój odmienił się w jednej chwili: mieszkam teraz w domu horodniczego, hulam, bawię się i przepędzam czas en bons mots. Żona jego i córka, obie nie są dla mnie obojętne. Nie wiem nawet do której się wprzód udać; lecz najlepiej podobno będzie zacząć od matki, bo do córki przystęp może być nieco trudniej-

szym, a mamunia jeszcze niczego i w jednej chwili gotowa się po uszy zakochać. Sam zaś Horodniczy, jest to człowiek najuczciwszy, patryarchalnie gościnny, ale głupi jak siwy baran!!!“

Horodniczy.

Nie. To być nie może! tam tego nie ma.

Pocztmeister (*pokazując pismo*).

Czytaj pan sam!

Horodniczy (*czyta*).

„Jak siwy baran“... to być nie może, to pan sam napisałeś.

Pocztmeister.

Jakżeżbym ja mógł to napisać?

Ziemenika.

Czytaj pan dalej.

Chłopow.

Tak jest, czytaj pan dalej.

Pocztmeister (*czyta dalej*).

„Sam Horodniczy, jest to człowiek najuczciwszy, patryarchalnie gościnny, ale głupi jak siwy baran...“

Horodniczy.

Niech djabli porwą! Jeszcze powtarza.

Pocztmeister (*czytając dalej*).

„No... hm... hm, hm... jak siwy baran. Pocztmeister także dobry człowiek...“ (*przestaje czytać*) No, tu i o mnie także niegrzecznie się wyraża.

Horodniczy.

Nie, niech pan czyta!

Pocztmeister.

Na cóż to ?

Horodniczy.

Nie, do sto djablów! kiedy czytać, to czytać. Czytaj pan wszystko!

Ziemenika.

Pozwól pan, ja dokończę. (*Kładzie okulary i czyta*) „Pocztmeister, także dobry człowiek; nadzwyczajnie podobny do naszego departamentowego stróża Nikity; i ani wątpić, jest taki sam łotr i pijaczyna.“

Pocztmeister (*do publiczności*).

A to przebrzydły młokos, którego tylko wysiec różgami, i nie więcej!

Ziemenika (*czyta dalej*).

„Oprócz tego, kurator szpitalów, jakiś tam“ e. e. et... (*jąka się*).

Korobkin.

Czegóżeś się pan zatrzymał ?

Ziemenika.

Nie wyraźny charakter... wreszcie widać, że ten co to pisał jest hultaj i ladaco !

Korobkin.

Pozwól pan mnie; moje oczy dobrze widzą. (*chce odebrać list*).

Ziemenika (*nie daje*).

Nie, to miejsce można opuścić; a tam dalej dość wyraźnie pisano.

Korobkin.

Daj pan, daj! już ja będę wiedział.

Ziemenika.

Przeczytać, to ja i sam przeczytam, (*patrzac w list*) dalibóg!
wyrażnie.

Pocztmeister.

Nie, nie; wszystko trzeba czytać!

Wszyscy.

Tak, tak. Oddaj pan list! — Niech pan Korobkin czyta.

Ziemenika.

Zaraz, zaraz... (*oddaje list*) tylko palcem zakryją. (*zakrywa list palcem*) Oto, tego tylko pan nie czytaj, a resztę wszystko można.

Wszyscy (*przystępując do czytającego*).

Pocztmeister.

Wszystko pan czytaj!

Korobkin (*czyta*).

„Oprócz tego kurator szpitalów jakiś tam Ziemenika; wyobraź sobie osła w jarmułce z ogromnymi uszami...”

Ziemenika (*do publiczności*).

Cóż tu tak dowcipnego! Bóg wie co: Osioł w jarmułce! nie ma w tem prawdopodobieństwa. — Czy widziano gdzie osła w jarmułce?

Korobkin (*czytając dalej*).

„A od inspektora szkoły, strasznie śmierdzi cebula...”

Chłopow (*do publiczności*).

Dalibóg, nigdy nawet do gęby nie brałem cebuli.

Liapkin (*n. s.*)

Dzięki Bogu, że przynajmniej o mnie nic nie pisze.

Korobkin (*dalej czyta*).

„Oprócz tego jakiś tam sędzia...“

Liapkin (*n. s.*)

Otóż masz! (*głośno*) Panowie, ja sędzę, że list jest nie co za długi. Na ten raz dość będzie i tego.

Chłopow.

Nie, ja chcę wszystko wiedzieć.

Korobkin (*czyta dalej*).

„Jakiś tam sędzia Liapkin — Tiapkin, szczególnie mauvais ton..“ (*zatrzymując się*) To musi być francuzkie słowo.

Liapkin.

A djabli go wiedzą, co ono znaczy!... Jeżeli oszust, to jeszcze dobrze, a może być co gorszego.

Korobkin (*czyta dalej*).

„Słowem: straszny gap. — Sądząc po mojej fizygnomii wzięli mnie za wojennego generała gubernatora. Ja z mojej strony nie źle ich podskubałem — jesteś redaktorem pism, zmiłuj się więc, umieść ich gdzie w jakim dziełku i okrytykuj porządnie. Bywaj zdrów, drogi przyjacielu. Idąc za twojem przykładem, sam odtąd zajmę się literaturą. — Smutno bracie, tak żyć: szukam posiłku dla duszy, a poziome spóółstwo mnie nie rozumie. Chcę więc nakoniec zająć się czemś wyższem. Pisz do mnie do Saratowskiej gubernii, do majątku Podkatilówki.“ (*przewraca list i czyta adres*) „Wielmożnemu panu, Janowi Triapiczkinu w S. Petersburgu, przy ulicy Pocztańskiej, w domie pod N. 27 na trzecim piętrze.“

Żona Korobkina.

Co za nadspodziana i bezprzykładna konfuzja!

Horodniczy.

Ach! jestem zgubiony, zarznięty, zabity! Nie nie czuję, nie

nie widzę. Posłać za nim w pogoń!.. wrócić, wrócić go tu natychmiast! (*macha ręką*),

Pocztmeister.

Gdzie tam już wrócić! Jakby z umysłu, kazałem Smotrytielowi dać najlepszą trójkę; a nadto jeszcze; posłałem na piśmie zalecenie, do wszystkich pocztowych stacyj mojego okręgu, aby go co najprędzej ekspedyowano. — O! wolałbym był żeby mnie wprzód pioruny!..

Liapkin.

Niech go tam djabli wezmą! — Dowiedźcie się panowie, że on u mnie pieniędzy pożyczył.

Ziemenika.

I u mnie także, trzysta rubli.

Pocztmeister (*wzdychając*).

Ach! i u mnie sto rubli.

Bobczyński.

A od nas z panem Piotrem wziął czterdzieści asygnacyjnych i trzy grzywienki srebrem.

Liapkin (*rozstawiając ręce*).

Jakże nam panowie? można było do tyła się zapomnieć.

Horodniczy (*bijąc siebie w czoło i w plecy*).

Jakże ja? nie, jakże ty! stary głupcze! zgrzybiały, siwy baranie! mogłeś tak haniebnie dać się w pole wywieść. Trzydzieści lat już służę; żaden kupiec, żaden podradczyk, w niczem nie mógł mnie podejść; największych łotrów odrwijałem; najzręczniejszych filutów, nawet takich co cały świat okraść gotowi, łowiłem na wędkę; trzech gubernatorów oszukałem!.. A teraz... jeden wietrznik, młokos, u którego na brodzie mleko jeszcze nie obeschło, tak zadrwił ze mnie! — Ruszaj, łapaj ścigaj! i daj go tu!..

Anna (*do męża*).

Jakto? to nie uchodzi, to być nie może!... przecież on już był zaręczony z naszą Maryą.

Horodniczy (*z gniewem i żalem*).

Nie widziszże jeszcze: iż u niego wszystko to było: tylko wiatrem? — Najrozpuśtniejszy filut, niech go jasny piorun trzaśnie!... Otóż sprawdziło owo przysłowie: że gdy kogo chce Bóg ukarać, najrząd mu rozum odbierze. I cóż w nim jest tak osobliwego, żeby go aż można było wzięść za tak ważną znakomitą figurę? Niechajby miał w sobie coś przynajmniej takiego co wzbudza w ludziach szacunek, uszanowanie; a to djabli wiedzą co: jakiś wysechły gilbas; chudy jak widelec. — I jakim to się sposobem stało? kto pierwszy doniósł mi o tem, kto powiedział: że to jest urzędnik, przysłany do nas dla rewidowania?

Ziemenika.

Kto doniósł, kto powiedział! Oto ci dwaj gagatki! (*wskazuje na Dobczyńskiego i Bobczyńskiego*).

Bobczyński.

To... to.. to... nie ja — jam nawet o tem nie myślał.

Dobczyński.

Ja także nic nie mówiłem, zupełnie nic..

Ziemenika.

Wy, nie kto inny.

Chłopow.

Rozumie się, że wy. Naprzód wpadliście tu z traktyeru jak waryaci, krzycząc na całe gardło: znaleźliśmy go, przyjechał, przyjechał Rewizor, który pieniędzy nie płaci... prawda że nie płaci, ale pożyczca... Niech was djabli porwą! mieli kogo znaleźć!

Horodniczy.

Naturalnie, wy miastowi nowiniarze, przebrzydłe spleśniałe plotki.

Ziemlenika.

Idźcie do piekła! z waszym Rewizorem i waszemi nowinami.

Horodniczy.

E! przekłete grzechotniki! włożą się tylko po mieście, rozsiewają baśnie i trwożą wszystkich!... sroki krótkoogoniaste!

Liapkin.

Obrzydłe kapcany!

Chłopow.

Szłafmyce dziurawe!

Ziemlenika.

Stare pantofle! (*wszyscy ich obępują do koła*).

Bobczyński.

Dalibóg! to nie ja, to pan Piotr.

Dobczyński.

Eh nie; to nie ja, to pan Piotr.

Bobczyński.

Ale nie, ty wprzódy!...

SCENA V. I OSTATNIA.

CIŻ I ŻANDARM.

Żandarm (*do Horodniczego*).

Przybyły za Najwyższym rozkazem urzędnik z Petersburga, żąda natychmiast widzieć pana u siebie ; stanął w tutejszej oberży.

(*Wszyscy wydają okrzyk zadziwienia i zostają w osłupieniu z otwartymi gębami, wyciągniętymi szyjami, etc. etc. Niema scena. Kortyna zapada*).

KONIEC SZTUKI.

